

BOLESŁAW
CZYLI
DALSZE LOSY GENOWEFY

POWIEŚĆ

CZWARTE WYDANIE



DRUKIEM I NAKŁADEM KAROLA MIARKI SPÓŁKI WYD.
W MIKOŁOWIE.

BOLESŁAW

CZYLI

DALSZE LOSY GENOWEFY

POWIEŚĆ

CZWARTE WYDANIE.



Galos

1920.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI
W MIKOŁOWIE.

SL 11.6.1d
SL 1e

386093

I



K. 43/5135
16.3. 18,-



ROZDZIAŁ I.

Młodość Bolesława.

Niepodobna opisać radości obojga małżonków, Zygryda i Genowefy, gdy ich Bóg na nowo złączył. On tyle łez wylał, żalując swej porywczosci; ona poniosła tyle niewygód i nędzy — teraz to wszystko minęło, przed nimi otwierało się szczęście niczem nie zamaćcane. Jedynem staraniem małżonków było teraz, aby Bolesława jak najlepiej i najstaranniej stosownie do jego urodzenia wychować.

Bolesław, jak wiemy, był tylko ochrzczony z wody. Ojciec postanowił teraz, stosownie do przepisów kościelnych uzupełnić ten chrzest co do ceremonji, jak je Kościół św. przepisuje, na co zaprosił wszystkich okolicznych rycerzy. Zamek napęłnił się zacnymi gośćmi, radość była ogólna.

Genowefa nie mogła jednak wziąć osobiście udziału w tej uroczystości, zasłabła bowiem wskutek wzruszenia i z powodu zmiany po-

żywienia. Jako pustelnica żyła 7 lat mlekiem i korzonkami, teraz zmieniony sposób życia po-
działał też niekorzystnie na jej zdrowie.

W owych czasach nie było lekarzy jak
dzisiaj. Wszystkie sztuki i nauki wykonywali
przedewszystkiem zakonnicy. Oni to w onczas
prawie sami tylko umieli czytać i pisać, oni pi-
sali po klasztorach księgi, uczyli ludzi rzemiosł,
uprawy roli i oni też w ważniejszych wypad-
kach udzielali ludziom rady w słabości. Wia-
domości lekarskie, pielęgnowane w klaszto-
rach, przechodziły z jednego zakonnika na dru-
giego i dlatego też nie gdzieindziej tylko do
klasztoru uciekano się po radę.

Zygfyrd miał za kapelana zamkowego zac-
nego jednego zakonnika, imieniem Ojca Nor-
berta, który też doskonale znał się na sztuce
lekarskiej. Kiedy Gawel rozpoczął swe nieczne
rządy na zamku, począł prowadzić życie hu-
laszcze, a wydalać co lepszych służących i za-
stępować ich wyuzdanymi jak on łajdakami, nie
mógł Ojciec Norbert, jako kapłan, znieść tego.
Kilkakrotnie zgromił surowo rządcę za takie
postępowanie, czem go rozgniewał do tego
stopnia, że ten postanowił się go pozbyć. Bał
się jednak podnieść ręki na pomazańca Pań-
skiego, nie odebrał mu przeto życia, tylko po-
lecił dwom łotrom związać go i w nocy wy-

włóżył go daleko poza granice hrabstwa, zagroziwszy mu, że w razie gdyby się poważył wrócić, to go zabić każe. Ojciec Norbert poszedł więc na tułaczkę i szukał przytułku u innych ludzi.

Gdy hrabia Zygfryd powrócił i wykrył całą V
niegodziwość swego rządcy, zapytał się o dawnego swego kapelana. Począł go szukać, wypytywać się o niego i znalazł go wreszcie. Sprowadził go zatem napowrót do swego zamku, a teraz porучzył mu też wychowanie swego syna Bolesława. Ojciec Norbert podjął się z radością tego obowiązku, a nadto zajął się i chorą Genowefą.

Bolesław był chłopcem obdarzonym niepospolitemi zdolnościami, to też nauka nie sprawiała mu trudności. Matka w rozmowach swych na puszczy rozwinęła już znacznie umysł jego, to też w młodym już wieku posiadał tyle wiadomości, że mógł zawstydzić niejednego z rycerzy. Ojciec ze swej strony ćwiczył go w rzemiośle rycerskim, uczył go narabiać bronią, jeździć konno, strzelać z łuku i często brał go ze sobą na polowanie. Ojciec Norbert brał go znowu na przechadzki z sobą, uczył go poznawać rozmaite zioła i objaśniał mu, jaki z każdego można mieć pożytek, w jakiej słabości należy użyć tej lub owej rośliny.

Przy starannej opiece Ojca Norberta, Bolesława i Zygryda, przyszła wreszcie Genowefa do zdrowia. Bolesław pielęgnując matkę w słabości, widząc ją wracającą do zdrowia, nabrał jeszcze większego zamiłowania do sztuki lekarskiej. Wszyscy razem złożyli Bogu gorące dzięki, kiedy poraz pierwszy opuściła swe pokoje i znowu tak, jak niegdyś przed wyruszeniem Zygryda na wojnę, czerstwa i wesola, poszła z mężem na przechadzkę.

ROZDZIAŁ II.

Berta.

Jak to już wiemy, stary Wolf sprowadził sędziwych rodziców Genowefy zaraz po odnalezieniu tejże do Zygrydburga. Nie mieli oni zamiaru bawić tu długo, bo książę nie miał wiele czasu, mając bardzo rozległe księstwo do zarządu, ale kiedy Genowefa zapadła ciężko na zdrowiu, pozostali przy swem dziecku. Teraz widząc ją już zupełnie zdrową i silną, wybierali się z powrotem. Ale właśnie wieczorem przed postanowionym wyjazdem z Zygrydburga, przybył poseł z sąsiedniego zamku rycerskiego z wiadomością, że na drugi dzień przybędzie trzech rycerzy w odwiedziny. Trzeba więc było odłożyć odjazd na później.

W istocie na drugi dzień przed południem przybyli zapowiedziani trzej rycerzy w świetnych zbrojach, z licznym orszakim dworzan. Wolf zaprowadził ich do sali zamkowej, gdzie była cała rodzina hrabiego zgromadzoną. Zygryd powitał ich uprzejmie, prosił ich, by się rozgościli, poznał jednak zaraz, że muszą z czemś ważnem przybywać, wskazywał to bowiem ich strój okazały i miny uroczyste. Po chwili zapytał przeto, coby miało znaczyć całe to uroczyste wystąpienie.

Na to powstał jeden z rycerzy, Eberhard z Breitenstein, żołnierz dzielny, przystojny i do tego zamożny i w te się odezwał słowa: Chwila ta wymaga po nas, byśmy jak najuroczyściej wystąpili. Jestem ci życzliwy, hrabio Zygrydzie, a starałem się życzliwość moją zawsze okazywać, sądzę też, że i z twej strony na życzliwość i pomoc sobie zasłużyłem. Od czasu odkąd się połączyłeś na nowo z twoją zacną małżonką, zauważyłeś pewnie, że dość często nawiedzam twój zamek. Prócz przyjaźni i życzliwości dla ciebie, był w tem jeszcze inny powód. Zajął mnie jedna osoba swoją urodą, skromnością i cnotami tak, że postanowiłem tę, lub żadną pojąć sobie za żonę. Jestem niezależny, nie mam rodziców, nie potrzebuję się przeto obawiać żadnych przeszkód ze strony

rodziny; mam majątek dostateczny, rozległe i dobrze zagospodarowane dobra nad Mozela, mogę przeto z moją żoną wcale wygodnie prowadzić życie. Od ciebie tylko, panie hrabio, od ciebie przezacna hrabino zależy, abym mógł się nazwać szczęśliwym; was proszę, byście się raczyli wstawić za mną do tej, którą pokochałem i której pragnę oddać mą rękę i imię.

— Ależ najchętniej, rycerzu — odrzekł Zygfryd — a któraż to z córek okolicznych rycerzy tak cię zajęła?

— Prawda, wszak dotąd nawet nie wymieniłem jej nazwiska, chociaż to nasamprzód powinienem był uczynić. Oto jest nią panna Berta — odrzekł Eberhard.

Berta, która dotąd zawsze razem z Genowefą przebywała i teraz się też przy niej znajdowała, słysząc to, zarumieniła się i zmieszała. Zdziwił się i Zygfryd i hrabina, nie mogli też pojąć, jak Eberhard, potomek tak znakomitego rodu, właściciel obszernych posiadłości, mógł wpaść na to, żeby się żenić z dziewczyną, prawda poczciwą, zacną i ładną, ale bądź co bądź córką dozórcy zamkowego, a więc człowieka niskiego pochodzenia. Chwilę też trwało milczenie.

Przerwał je Eberhard, mówiąc: Dziwicie się państwo, że ja, rycerz i pan zamożny, chcę

wziąć żonę z niskiego stanu, córkę waszego służącego, lecz otwarcie wam powiem, że tylko Berta będzie moją żoną, albo żadna. Nie zważam na uprzedzenia, bo tylko w tym związku małżeńskim widzę moje szczęście. Od ciebie, panno Berto, wszystko zawisło.

Berta zwróciła się do pani swojej i poprosiła, by jej pozwoliła słówko powiedzieć. Używszy jej przyzwolenie, rzekła: Wielki to dla mnie zaszczyt, że taki zacny rycerz zwrócił na mnie swoją uwagę i chce pojąć mnie za żonę. Ale ja na to przystać nie mogę, bo wiem, że potem nieraz byście żałowali tego kroku.

— Wcale nie! — przerwał Eberhard. — Ja się już dawno namyśliłem. Pokochałem cię całą duszą, ty mi za wszystkie stosunki z ludźmi starczysz. Do ciebie się muszę zwrócić jeszcze, hrabio Zygfrydzie, przemówże za mną do panny Berty.

— Co do mnie, widzę, że Berta bardzo rozsądnie myśli — odrzekł hrabia. — Wszak prawda, ojciec Norbercie?

— Jabym radził w tej sprawie poradzić się zdania ojca Berty — odrzekł zapytany. Posłano więc po niego. Zawołany przybył, a hrabia Zygfryd tak doń przemówił. — Ten tu oto szlachetny rycerz Eberhard z Breitenstein przybył tutaj i prosi o rękę twej córki, Berty.

Ona odmawia, a za powód podaje, że potem mogłoby to być nieszczęśliwe małżeństwo, dla tego, że jest ubogą i niskiego pochodzenia. Cóż wy na to ojcie powiecie?

Mowa ta zaniepokoiła starego sługę, milczał czas jakiś, jakby walcząc ze sobą, wreszcie upadł na kolana przed hrabią i rzekł: Jaśnie pan hrabia darować mi raczy, że tak długo bawiąc u niego, ukrywałem przed nim ważną tajemnicę. Ale jedynie z obawy, by Bertę co nie spotkało, tailem to długo; teraz, kiedy o jej szczęście się rozchodzi, nie mogę tego ukrywać. Berta nie jest moją córką.

Berta usłyszawszy to, rzuciła się z płaczem w objęcia dozórcy i zawołała: Ach mój ojcie, czemuż się mnie wypierasz, niechże nadal będę twoją córką! — A Eberhard dodał: Dla mnie wiadomość ta jest zupełnie obojętną, cieszę się chyba dlatego, że zdoła zmienić postanowienie Berty.

— Cóż więc wiecie o urodzeniu i o pochodzeniu Berty? — zapytał hrabia.

Na to rzekł dozorca: Będzie temu 20 lat, kiedy szedłem z żoną drogą z Moguncji do Koblencji szukając służby. Znużeni podróżą spočeliśmy nad brzegiem Renu u stóp wzgórza, na którego szczycie wznosił się piękny zamek. Przypatrywaliśmy się przejeżdżającym stat-

kom i siedzieliśmy sobie z pół godziny, gdy wtem coś plusło; z okna zamkowego wyrzuciono koszyk. Do niego przywiązany był kamień, ale ten odwiązał się i upadł osobno i tym sposobem koszyk nie poszedł na dno rzeki. Ciekawością zdjęty pobiegłem, przyciągnąłem koszyk do brzegu i znalazłem w nim dziewczynkę owiniętą w kołderkę i uśmiechającą się do mnie. Widocznem było, że Pan Bóg mnie tu sprowadził, abym dziecku ocalił życie, to też zabrałem je z sobą i to tem chętniej, że własnych dzieci nie miałem. Pan Bóg wynagrodził mię za to, bo znalazłem zaraz służbę u pana hrabiego. Dowiadywałem się do kogo należy zamek. Właścicielem był Ulrych Pletenberg. Umarł on niedawno temu, za nim poszła do grobu żona jego Ludmiła, została tylko córeczka Berta. Ale i ona już umierająca, rzekli mi ludzie, a dobrami zarządza daleki krewny zmarłych, Stefan Eberek.

— To łotr! — zawołał Eberhard.

— Na szyi miało dziecko łańcuszek stalowy z wyrytym na nim herbem. — Obecni obejrzeli podany im przez stróża łańcuszek i uznali, że to jest herb Pletenbergów, na co hrabia Zygfryd zauważył, iż to jeszcze nie dowodzi, że Berta jest córką Pletenbergów.

— Co do tego — rzekł Ojciec Norbert — to ja najlepiej was objaśnię. Przed paru laty zachorowała żona dozorczy waszego. Odwiedziłem ją i na stoliku obok łóżka zobaczyłem ten tu łańcuszek. Opowiedziała mi tę samą historję, coście teraz słyszeli. Domyślałem się wtedy, że Berta może być córką Pletenberga. W czas jakiś potem wezwano mię do chorego. Był on giermkim Ebereka, a umierając, zeznał przy świadkach, że z namowy Ebereka zgładził ze świata jedyną dziedziczkę Pletenbergów, Bertę. Wrzucił ją w koszyku do Renu. Giermek nie umarł, świadkowie żyją także i są gotowi powtórzyć to samo pod przysięgą — utrzymywałem jednak wszystko w tajemnicy z obawy przed Eberekiem. Teraz jednakże dłużej tajemnicy zachowywać nie wolno, skoro rycerz Eberhard chce się losem Berty zaopiekować.

Opowiadanie to zrobiło wielkie wrażenie na słuchaczach. Przedewszystkiem Berta musiała ulec naleganiom Eberharda i przyrzec mu swą ręką. Nie zwłóczył też hrabia z weselem. Ojciec Norbert połączył ich węzłem małżeńskim w kaplicy zamkowej, a hrabia wyprawił im huczne wesele. Berta i Genowefa prosiły ze łzami, żeby winowajcy nie pociągać do odpowiedzialności, ale Eberhard postanowił, że nie

pozwole na to, aby występny łotr triumfował i krzywdził nieszczęśliwą; karać go nie myśli, ale zażąda zwrotu jej własności.

Smutne było pożegnanie Berty z jej przybranym ojcem. Płakała i nie chciała się z nim rozstać; widząc to jej małżonek, prosił Zygfrйда, aby uwolnił starca ze służby i pozwolił zabrać go z sobą, na co też Zygfryd przystał.

W dwa tygodnie później obchodził Eberhard gody weselne na swym własnym zamku. Sprosił wielu gości, a rozumie się, że nie ukrywał już wcale tajemnicy pochodzenia Berty. Wieść o znalezieniu prawnej dziedziczki Pletenbergu i okolicznych do zamku należących włości doszła i do uszu Ebereka. Wiedział dobrze, że z tego nie wyniknie nic dobrego, zabrał więc, co tylko było kosztowności w zamku i opuścił go czempředzej. Gdy po weselu Eberhard na czele swego wojska ruszył przeciw Eberekowi i stanął pod zamkiem Pletenberg, znalazł zamek zupełnie opuszczony. Ucieszyło go to, bo uwolnił się tym sposobem od niemiłego obowiązku rozprawiania się z tym niecnym człowiekiem z bronią w ręku, ale mimo tego spowodziło to nowe kłopoty. Eberek został teraz rabusiem-rycerzem. Zebrał bandę łotrów i napadał podróżnych, obdzierał ich, tak że nikt w okolicy nie był pewny swego

mienia i życia. Zrobiono wyprawę na niego, schwytano nawet kilku z jego bandy, ale nie dowiedziano się nic od nich, gdyż Eberek nawet przed bandą w tajemnicy trzymał miejsce swego pobytu. Tyle tylko wiedzieli, że mieszka w którejś jaskini nad Renem, lecz gdzie i jak się tam dostać, nikt nie umiał powiedzieć. Tylko kilku zaufanych wiedziało o jaskini, innych wprowadzano do niej i wyprowadzano zawsze z zawiązanymi oczami.

ROZDZIAŁ III.

Opowiadanie starego Wolfa.

Napaści Ebereka zaniepokoiły sąsiednich rycerzy, wszyscy mieli się na baczności, obawiając się jego napadu. Szczególniej Zygfryd musiał to uczynić, gdyż doszło do uszu jego, że Eberek zaprzysiągł zemścić się na nim, bo jemu głównie przypisywał odkrycie zbrodni, której się dopuścił względem Berty. Do tego przyszła i chciwość, gdyż doniesiono mu, że w zamku Zygfryda znajdzie wielkie bogactwa. To też Zygfryd zaopatrzył zamek w żywność i trzymał ustawiczną straż dzień i nocą. Wieczorami zbierali się w sali i tu opowiadał im sam, albo innych do tego zachęcał, o rozmaitych ciekawych i pouczających rzeczach. Były

to właśnie czasy, kiedy na Zachodzie obudził się wielki ruch pielgrzymek do Ziemi świętej, by zwiedzić i uczcić miejsca uświęcone pobyttem Zbawiciela, skropione Krwią Jego najdroższą. Odbył taką pielgrzymkę Kunc i Heinc, brał w niej udział dawniej i stary przyjaciel Zygfryda Wolf, to też nie brakło nigdy im przedmiotu do opowiadania. Raz naprzykład opowiadał Wolf ustęp ze swojej pielgrzymki do Ziemi świętej, którą odbył wraz z arcybiskupem Zygfrydem z Efsteinu:

— Było to roku 1064 — mówił Wolf. — Służyłem wtedy jako dowódca przybocznej straży u arcybiskupa Zygfryda. Był to człowiek już wyżej pięćdziesiątki, ale krzepki i zdrowy, a lubiany i czczony od wszystkich. Wybierał się mój pan właśnie do Ziemi świętej, co widząc, prosiłem go, aby i mnie wziął z sobą. Znał me przywiązanie, wiedział, że mi nie brak odwagi, a że potrzebował właśnie człowieka oddanego sobie i odważnego, zabrał mnie z sobą.

Prócz arcybiskupa mogunckiego wzięli jeszcze udział biskup Otto z Bambergu, Ginter z Ratysbony, Wilhelm z Utrechtu i kilku znaczniejszych hrabiów i panów z Francji. Orszak więc był wcale pokaźny. Wszyscy wystąpili jak najokazalej, konie były przepyszne,

zbroje kosztowne, we wszystkim mnóstwo srebra, złota i klejnotów. Żle to było, bo przez to obudziliśmy chciwość i chęć do grabieży w tamtejszych mieszkańcach. Szło jako tako, póki nie przybyliśmy do siedzib zajętych przez Saracenów, do Arabji. Nim tam przybyliśmy, już doszła wieść o naszym przybyciu i postanowiono nas obedrzeć. Zaledwie dzień drogi za miastem Rumlą napadła na nas banda Saracenów i otoczyła dokoła. Walka była zacięta. Myśmy byli ciężko uzbrojeni, a Saraceni byli na lekkich koniach, to też co chwila zrzucili którego z nas na ziemię, a zrzuciwszy, natychmiast zabijali i obdzierali. Patrząc, a tu mój pan jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Z trudem dostałem się do niego. W tejże chwili musiałem patrzeć na to, jak Saraceni obdarli i zabili biskupa Wilhelma z Utrechtu.

Udało się nam jako tako wycofać i schroniliśmy się do Kafarnaum. Tu w opuszczonym klasztorze zamknęliśmy i broniliśmy się przeciw Saracenom kamieniami. Wróg jednak nie porzucił myśli dostać nas w swe ręce, bo widzieliśmy z poza muru, jak Saraceni rozłożyli się obozem naokoło klasztoru, sądząc, że głód zmusi nas przecież do opuszczenia naszego schronienia. Tej chwili użyliśmy na odpoczynek, bo walka trwała już od piątku wieczorem,

a był to sam Wielki Piątek, aż do niedzieli po południu. Krótco jednak wypoczywaliśmy. Arabowie dostali świeże posiłki, walka zaczęła się na nowo. Widocznem było, że nie będziemy w stanie dłużej stawiać oporu, postanowiliśmy przeto odbyć naradę. Sądziliśmy, że Saracenom idzie tylko o kosztowności, któreśmy mieli z sobą i że nas puszczą, gdy je im oddamy. Oświadczyliśmy przeto Saracenom, że się poddajemy. W celu porozumienia się zaprosiliśmy dowódcę ze 17 innymi do środka, straż nasza miała czuwać nad tem, by więcej Saracenów nie weszło. Gdyśmy przez usta arcybiskupa Gintera oświadczyli, że oddajemy im nasze skarby, aby nas tylko puścili, rozśmiał się nam dowódca w oczy i rzekł, że skarby nasze i życie nasze do nich należy, i zrobią co zechcą z nami. Dowódca nawet chwycił arcybiskupa pod gardło i począł go dusić. Widząc to arcybiskup uderzył go pięścią. To dodało nam odwagi, rzuciliśmy się na Saracenów i powiązaliśmy ich. Wieść o pojmaniu ich naczelnika odebrała odwagę Saracenom, cofnęli się przeto z Kafarnaum. Równocześnie przybyła nam pomoc zupełnie niespodziewana. Gdy nas napadnięto w piątek, jeden z pielgrzymów uciekł z pola walki i pobiegł do miasta Rumli, gdzie mieszkał namiestnik sułtański,

opowiedział mu o napadzie i poprosił o pomoc. Namiestnik, choć poganin, był uczciwym człowiekiem, to też zebrał czempredzej żołnierzy i przybiegł w pomoc. Oddaliśmy mu jeńców, których obiecał surowo ukarać, jako zbójców, a zebrawszy pomiędzy nami składkę, daliśmy mu znaczny podarunek pieniężny. To go ujęło. Odprowadził nas ze swem wojskiem aż do Jerozolimy, zwiedziliśmy bezpiecznie święte miejsca i znów pod osłoną jego żołnierzy wróciliśmy do Rumli. Stanąwszy na ziemi nie będącej już pod panowaniem niewiernych, odechnęliśmy swobodniej i podziękowaliśmy gorąco Bogu, że nas wybawił z tylu niebezpieczeństw.

Wszyscy obecni słuchali z zajęciem opowiadania starego Wolfa i dziwili się tej nienawiści Turków względem chrześcijan, ich chciwości i okrucieństwu. Bolesław, słysząc to opowiadanie, tak się rozpałił, że przyrzekł, jak tylko dorośnie, zwiedzić Ziemię świętą. Zygfryd zaś postanowił na zadośćuczynienie Panu Bogu za swoją porywczosć w posądzeniu żony odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy, a Genowefa prosiła też męża, by jej samej nie zostawili, ale zabrali ze sobą. Ułożono przeto, że wszyscy troje zwiedzą grób Zbawiciela.

Ojciec Norbert na zakończenie opowiedział im jeszcze historję Ziemi świętej.

— Jeruzalem było stolicą państwa żydowskiego. Była tu wspaniała świątynia, do której żydzi 3 razy do roku na święta przychodzili się modlić. Za rozliczne występki narodu żydowskiego dopuścił Pan Bóg na nich, że dostali się pod panowanie pogańskich Rzymian. Wtedy to przyszedł na świat Zbawiciel Jezus Chrystus, by świat odkupić z niewoli grzechu. Wielu uwierzyło weń, ale większa część, przeważnie kapłani i starsi żydowscy pogardzili Nim, nie uznali w Nim Boga, bo im szło tylko o to, by się uwolnić z pod panowania rzymskiego. W Zbawicielu chcieli widzieć wojownika i wroga Rzymu, wydali więc Jezusa na śmierć. Tak było do roku 71 po narodzeniu Jezusa. Wtedy żydzi podnieśli bunt przeciw Rzymianom, Wespazjan, cesarz rzymski przybył z wielkiem wojskiem, zdobył Jeruzalem i uśmierzył buntowników. Dużo żydów zginęło w tej wojnie, dużo też zabrali Rzymianie w niewolę i sprzedawali ich potem jako niewolników, jak to wówczas było w zwyczaju. Znowu nastał na jakiś czas spokój. Za panowania cesarza rzymskiego Hadrijana podnieśli żydzi znowu bunt, przyszły wojska rzymskie i zburzyły miasto do szczętu. Znieważono

miejsca święte. Na miejscu świątyni Jerozolimskiej stanęła świątynia pogańskiego bożka Jowisza, a na miejscu, gdzie był grób Zbawiciela, wystawili poganie świątynię Wenery. Tak upłynęło 200 lat, aż dopiero, gdy cesarz rzymski Konstantyn Wielki sam przyjął wiarę chrześcijańską, wszystko się zmieniło. Cesarz, sam katolik, wziął w opiekę miejsca święte, matka jego św. Helena przybyła do Jerozolimy, zburzono świątynię pogańską i poczęto szukać drzewa św. Odnaleziono je i poznano przy pomocy cudu. Cesarzowa Helena pobudowała ze synem piękne kościoły w Betleem, na Górze Oliwnej na miejscu grobu Zbawiciela. Za następców Konstantyna Wielkiego powstały nowe kościoły i klasztory. Kiedy państwo rzymskie podzieliło się na dwie części, na zachodnie i na wschodnie, miejsca święte dostały się w udziale państwu wschodniemu. Ale państwo wschodnie było słabe i co chwilę rozmaite wojny musiało staczać z wrogami. W r. 616 król perski Kozryes II zdobył Jerozolimę, złupił kościoły i zabrał nawet drzewo Krzyża świętego. Dopiero w 12 lat później cesarz wschodni, czyli bizantyński Heraklusz pokonał Persów, odbudował poburzone kościoły i odebrał drzewo Krzyża świętego. Sam na własnych barkach w procesji niósł Krzyż św.

do odbudowanego kościoła Grobu Pańskiego. Na tę to pamiątkę obchodzi Kościół katolicki uroczystość Podwyższenia Krzyża świętego. Niezadługo potem, w roku 638 zabrali Palestynę i Jerozolimę Turcy. Nie poburzyli oni kościołów, pozwolili chrześcijanom nawiedzać miejsca święte, ale dlatego tylko, żeby z tego ciągnąć ogromne zyski. Pielgrzymi musieli opłacać wielkie podatki, więc im z tem dobrze było. Mimo tego, że z tego dochody mieli, gnębili i dręczyli i aż do dziś to czynią z chrześcijanami mieszkającymi w Palestynie. Dałby to Bóg, żeby się narody chrześcijańskie zebrały razem i z bronią w rękę odebrały pogaanom te drogie sercu chrześcijańskiemu, krwią Chrystusa skropione miejsca.

Tak zakończył Ojciec Norbert swe opowiadanie o Ziemi świętej, poczem wszyscy zebrani udali się na spoczynek.

ROZDZIAŁ IV.

Pokutnik.

Zygfyrd skazał dawnego rządzcę zamku, Gawła, na więzienie za jego zbrodnicze postępowanie, byłby go może i śmiercią ukarał, gdyby Genowefa nie była się za nim wstawiła. To wstawienie się Genowefy wzruszyło bar-

dzo grzesznika, obudziły się w nim wyrzuty sumienia, poznał całą szkaradę zbrodni i to go tak dręczyło, że z rozpaczy mało co nie dostał pomieszania zmysłów. Ojciec Norbert zajął się chorym, a leczył nie tylko ciało, ale i duszę. Rozmawiał z nim, modlił się, dodawał mu otuchy. Genowefa przysyłała mu wino, owoców, Gawel nie chciał z pokory ich przyjmować, przyszła więc sama do niego, podała mu rękę i oświadczyła, że nie ma do niego żadnego żalu, że mu już dawno przebaczyła, i że modli się zawsze za niego. Wtedy Gawel wzruszył się, zalał się łzami, upadł do nóg swej pani i zawołał: O droga i święta pani! Niech ci to Bóg nagrodzi, żeś tak dobrze jest względem występnego swego sługi. Jam nie godzien tego, co dla mnie czynisz, ale może da Bóg kiedyś, że choć mojem życiem ci wdzięczność będę mógł okazać, że szczerze żałuję dawnych zbrodni moich.

Genowefa oświadczyła mu w imieniu męża, że może opuścić więzienie i robić, co się mu podoba, ale Gawel prosił, by mu pozwolono zawsze noc spędzać w tem więzieniu, gdzie ona przez kilka miesięcy przebywała, a przez dzień spełniać najniższe posługi w zamku. Nie chciała Genowefa przystać na to, ale wstawił się za nim Ojciec Norbert, wiedząc,

iż to potrzebne było dla niego dla uspokojenia sumienia i zadosyćuczynienia Bogu za dawne występki. Od tego też czasu Gawel mieszkał w więzieniu a co rano wychodził na podwórze i spełniał tam najniższe posługi: drzewo rąbał, wodę nosił, zamiatał, co mu kto kazał, zrobił. Ubiór jego był podarty, przewiązywał się powrozem a choć nieraz z niego żartowano, on się nigdy nie skarżył, wszystko znosił w pokorze i cierpliwości.

Wszyscy budowali się jego pokorą, tylko jedynie stary Wolf nie dał się jakoś przekonać, nie ufał mu jeszcze.

Zdarzyło się, że w zamku nie było prawie nic wojska, bo Zygfryd wysłał je pod dowództwem Wolfa na wyprawę przeciw Eberkowi, który napadał i pustoszył okolicę, a sam Zygfryd miał nazajutrz pośpieszyć do swoich ludzi, którzy stali obozem o dwie mile od zamku. Tejże nocy Gawel, śpiący w swoim więzieniu został przebudzony przez psa, który w podwórzu począł się niepokoić, wyć i ujadać. Gawel wyszedł, by go uspokoić i zobaczyć co się dzieje, ale nic nie widząc, wrócił i położył się znowu. Nie mógł już jednak na nowo zasnąć. Obok więzienia jego był podziemny przechód, właśnie ten sam, którym to niegdyś Kunc i Heinc wyprowadzili Genowefę

z zamku do lasu, aby ją tam pozbawić życia. Naraz w tym ganku dał się słyszeć jakiś szelest i jakby kroki. Natychmiast wpadło mu do głowy, czy to przypadkiem nie Eberek ze swoją bandą? Nie bał się, to prawda, ale wiedział, że w takim razie na nic się zda stawiać oporu. Zapóźno też byłoby pobiec do hrabiego i ostrzec go, zbójcy posłyszeliby otwarcie drzwi i przeszkodziłoby temu. Widział, że trzeba tu tylko użyć jakiego podstępu a prędzej się może w ten sposób uda dopomóc jego państwu. Właśnie, gdy nad tem myślał, dały się słyszeć kroki kilkunastu osób tuż pod drzwiami jego więzienia. Jeden z bandytów odezwał się wtedy: Tu w tem więzieniu siedzi dawny rządzca Gawel, trzebaby go uwolnić i wziąć za przewodnika; w zamku się tu już dużo zmieniło, a on zna wszystko dobrze.

Z tej rozmowy poznał rządzca, że wśród bandytów musi się znajdować ktoś z dawnych sług zamkowych, udał więc radość, otworzył czempředzej drzwi i z otwartemi rękami rzucił się w objęcia mówiącego.

— Witajcie! witajcie przyjaciele! Nie śpie, słyszałem waszą rozmowę. Jak to dobrze, żeście nie zapomnieli o starym przyjacielu. Właśnie dziś zapomniano drzwi zamknąć i myśla-

łem o ucieczce, gdy posłyszałem kroki; za chwilę nie byłoby mnie już w mej klatce.

Na to odezwał się jakiś głos: A to dureń jakiś. On myśli, że ja tu z moimi ludźmi przyszedłem, aby jego uwolnić. Nie dla ciebie tu stary błaznie przychodzę. Chodź prędzej i prowadź nas do Zygryda, bo inaczej to tak dostaniesz, że się nie opamiętasz, aż na drugim świecie.

— Czy ty myślisz — rzekł Gawel — że się zlekne twych groźb? Nie bałem się nikogo w życiu, nie bałem się i czarta a cóż dopiero ciebie.

Słyszac to, tracił go jeden ze stojących obok i rzekł mu półgłosem: Wiesz ty, kto to, toć to Eberek, nasz naczelnik. Nie odzywaj się tak do niego, bo możesz łatwo życie stracić.

Ale Gawel nie zmięszał się wcale, tylko począł się śmiać i rzekł: Ha! ha! ha! to wasz naczelnik Eberek jest tak mądrą głową? On też tak mądrze zrobił jak ja; gdybym był sam się sprawił z Genowefą, nie szukając zastępców, byłbym dziś tu panem w tym zamku; i on, żeby się nie był wyręczył, inaczej by z nim było. A to mądrego kłacie wodza, niema co mówić.

— Za te słowa należałoby ci się dać pałką — odrzekł Eberek — ale mimo tego podo-

basz mi się, widzę z twej mowy, żeś zuch. Czybyś nie chciał teraz zmienić służby i przyłączyć się do naszego grona?

— No, przecież ośm lat tu siedząc w więzieniu, nie będę płakał za moim dobrym panem — rzekł Gawel — zmieniam więc chętnie pana, ale przedewszystkiem musicie mi dać broń i powiedzieć mi, po co tu przychodzicie.

— Prawda — odrzekł Eberek — siedząc w więzieniu, nie możesz wiedzieć o tem, co zaszło na świecie. Twój pan z rycerzem Breitensteinem czyhają na mnie i urządzają przeciw mnie obławę — a chcę się zemścić, sam więc przychodzę do niego. On chciał mnie jutro za dnia szukać, ja sam wieczorem już przedtem do niego śpieszę, a po drodze zabierzemy to, co on tu zgromadził, jego zaś z żoną i dzieckiem chcę zabić.

— Niby to mądrze obmyślane — odrzekł Gawel — cóż kiedy z tego nie wiele się da skorzystać. Hrabiego, hrabinę i syna możecie zabić, to prawda, ale co do skarbów, tych nie dostaniecie. Hrabia dał swe pieniądze kupcom z Wormacji oni pracują temi pieniędzmi, to też ma on z tego ładne dochody. W zamku niema wiele, nie warto było nawet po to chodzić. Zamek spalić, czy to się opłaci? Sam powiedziałeś, że stąd niedaleko są wojska Eberharda

i Zygryda, nie trzeba i dwu godzin a będą tu zaraz. Pożar oświeci drogę, gdzie będziemy uciekać wtedy? Najlepiej zabrać naszych paniczów do niewoli i zażądać od nich okupu. Złożą to, tym sposobem można będzie wydrzeć im to, co złożyli w Wormacji, a potem przecież można zrobić z nimi, co się komu podobać będzie.

— Dobra twoja rada — odrzekł Eberek — widać, że z ciebie człowiek rozsądny. Teraz, jeśli chcesz, wstąp w moją służbę. U mnie takie warunki, że połowę biorę dla siebie, a druga połowa idzie dla towarzyszy do równego podziału. Czy zgadzasz się na to?

— Zgadzam się, owszem — odrzekł Gawel — tylko co do dziś, jedno dodać muszę. Mam ja z hrabiną jeszcze jeden rachunek do załatwienia. Dlatego wymawiam sobie, że przez pierwsze trzy miesiące ona do mnie wyjątkownie należy. Po trzech miesiącach oddam jej ją żywą i wtedy rób sobie z nią, co chcesz. Jeśli przystaniesz, przystaję do was i zaraz dziś pomagam wam w robocie. — Eberek myślał chwilę, wreszcie przystał i na ten warunek.

— No, to chodźmy — rzekł Gawel — tylko ostrożnie, po cichu i słuchajcie mych wskazówek, w pół godziny będziemy ze wszystkim gotowi.

ROZDZIAŁ V.

N a p a d.

Zygryd położył się dość wcześnie na spoczynek, miał zamiar bowiem wczas rano wyruszyć do obozu, ale długo nie mógł zasnąć. Zaledwie jednak usnął, poczęły go złe sny dręczyć. Śniło mu się, że Eberek napadł zamek, słyszał szczęk broni i jakieś jęki — przebudził się a to pies wył w podwórzu. Wyszedł więc na balkon, wyrztał i widział jak stróż stara się psa uspokoić. Zajrzał do sypialni Genowefy, tak żona jak i syn spali smacznie, wyszedł więc powtórnie na balkon i przyglądał się pięknej nocy. Wtem ujrzał łanię uciekającą przez podwórze; zdziwiło go to, bo zwykle spała spokojnie w swej budce. Postanowił przeto, nie budząc nikogo, zejść na podwórze i zobaczyć, co ją tak zaniepokoiło; w tym celu odwrócił się, wtem ktoś zarzucił mu pętlę na ramiona, tak, że nie mógł ręką ruszyć. Równocześnie usłyszał jakiś przytłumiony głos: Milcz, bo jak tylko krzykniesz, to w twoich oczach zamorduję żonę i syna. Chodź ze mną. — Był to głos Ebereka. Obejrzał się i ujrzał mnóstwo obcych ludzi, poznał więc, że zamek dostał się w moc wroga. Westchnął tylko do Boga i zachował milczenie. Zbójcy udali się teraz do

sypialni Genowefy. Zbudzili ją i syna i kazali się jej ubrać, grożąc jej, że za najmniejszym krzykiem, zamordują jej męża w jej oczach. Potem Eberek z całą bandą sprowadził rodzinę hrabiego na podwórze. Na dany znak przez Ebereka wyruszyła cała banda w cichości tym samym podziemnym gankiem, którym przyszli. Gawel z resztą żołnierzy szedł tyłem, to też ani Zygfryd, ani żona nie wiedzieli, że i on brał udział w tym nocnym napadzie.

Był jednak jeden świadek tego całego nocnego zajścia. Stróż nocny uspokoiwszy psa, położył się obok niego i patrzył sobie na podwórze. Przy świetle księżyca zobaczył wychodzących z wieży ludzi a na ich czele Ebereka i Gawła. Widział, jak Gawel z częścią zbrojnych ludzi został w podwórzu, jak rozstawiał strażę, jak czterech ludzi postawił obok psiarni. Widać, że musieli być bardzo zmęczeni, gdyż zaraz rozciągnęli się na ziemi i taką zaczęli pomiędzy sobą rozmowę:

— Trzeba przyznać naszemu wodzowi, że umie wszystko zgrabnie urządzić — rzekł jeden. — Dziś, taka niebezpieczna wyprawa, a jak to zgrabnie poszło.

— No poszło zgrabnie — odrzekł drugi — ale ciekawym, czyby tak było, gdyby nie było Gawła. On to tak urządził.

— Jeszcze to wszystko nie skończone — dodał trzeci — mnie się zdaje, że rycerz z Breitensteinu nie puści to tak płazem. Przecież to przyjaciel hrabiego a do tego wróg Ebereka.

— Ale i tak poskromi go nasz Eberek; od jakiegoś czasu jest już w służbie u niego dwóch naszych, ci nam dopomogą w robocie i donoszą nam o każdym jego kroku. Ale oto już i wracają nasi i prowadzą hrabiego z żoną i synem. Dalej, wstawajcie, chodźmy!

Całą tę sprawę słyszał stróż zamkowy. Po odejściu rabusiów zamknął drzwi żelazne wiodące do więzienia i pobiegł do Ojca Norberta, opowiedzieć mu o wszystkim. Zaczny kapłan ani zrazu wierzyć nie chciał całemu temu opowiadaniu, wnet jednak przekonał się nacznie o prawdzie. Najbardziej bolało go to, że Gawel, w którego poprawę wierzył, był takim obłudnikiem. Coś trzeba było radzić, bo na żale czasu nie warto było tracić, ale co? Wyśleć pogoń za zbrodniarzami, było już za późno i nie było nawet kogo wysłać, bo w zamku nie wielu pozostało; postanowił więc naprzód uwiadomić o tem, co zaszło Wolfa i Eberharda i ostrzec ich, że w wojsku znajduje się dwóch szpiegów Ebereka, przed którymi winni się mieć na baczności.

Kunc i Heinc mieli pójść do obozu; dla niepoznania ubrali się do podróży w swoje szaty pielgrzymie a Ojciec Norbert udzielił im swego błogosławieństwa na drogę.

ROZDZIAŁ VI.

Wśród zbójców.

Eberek spiesznie umykał ze swoimi jeńcami, bał się bowiem pogoni; wciąż zmieniał kierunek drogi, aby zmylić ślad za sobą, aż wreszcie po czterogodzinnym męczącym marszu, stanął obozem ze swoją bandą w dolinie naokoło otoczonej skałami. Rozpalono ognie i zbójcy zasiedli do posiłku. Ale Zygfryd, żona i Bolesław tak byli znękani, że ani ochoty nie mieli do jedzenia. Zygfryd chciał się tylko koniecznie widzieć z wodzem tej bandy. Na to stanął przed nim Eberek i podparłszy się dumnie, tak doń przemówił: Jestem Stefan Eberek, szanowny hrabio Zygfrydzie, i mam tę przyjemność oświadczyć ci, że jesteś moim więźniem wraz z twą żoną i synem. Rycerz z Breitensteinu chce się pomścić na mnie za swoją żonę a ty mu pomagales i radą i czynem, wysłałeś mu do pomocy swoje wojska, pragniecie mię schwycić. Ale jak widzisz, nie taka to łatwa sprawa z Eberekiem; zamiast jęgo-

schwycić, ja ciebie trzymam. Tak to, tak! kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Mam w ręku teraz ciebie i żonę twoją i syna, mógłbym powiedzieć tylko słowo a pożegnałibyście się z tym światem. Ale nie myśl źle o Eberku, on nie taki chciwy krwi, jak mówią; ja jestem człowiek spokojny, nie chcę wam wcale życia odbierać, ale musicie się zgodzić na warunki moje. Złożysz mi okup a ja wypuszcze ciebie i żonę i syna.

— Muszę się na to zgodzić — odrzekł Zygfryd — bo mi nic innego nie pozostaje. Ile żądasz za nas?

— Musisz mi dać wszystkie pieniądze, które masz na procentach u kupców w Wormacji. Natychmiast po ich złożeniu, choćby to dziś było, wypuszcze was na wolność.

Zdziwił się hrabia, słysząc te słowa i właśnie chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem między nim a Eberekiem stanął Gawel, dawny jego burgrabia i poczał, rzucając się od gniewu, wołać:

— Jakiem prawem śmiesz rozporządzać osobą hrabiny? czy nie pamiętasz naszego układu, że do trzech miesięcy do mnie ma należeć? Co chcesz, rób sobie z hrabią i jego synem, ale hrabina moja! Radzę ci, mój Eberku,

nie zrywać tak lekkomyślnie umowy, bo mógłbyś na tem wyjść krucho!

Widok dawnego służącego, o którego prawie był Zygfryd przekonany i słowa jego świadczące, że był w porozumieniu z Eberekiem, oburzyły i rozżaliły bardzo hrabiego.

— Jakto? — zawołał — to i ty Gawle złączyłeś się z tą bandą zbójecką przeciwko nam?

Zuchwałe i stanowcze wystąpienie Gawła oburzyło i rozgniewało też i dowódcę bandy.

— Jakto, ty nikczemniku! — zawołał patrząc nań groźnie — ty śmiesz do mnie w tym tonie przemawiać? Czy nie wiesz, że Eberek nie jest do czegoś podobnego przyzwyczajony? I cóż byś zrobił, jakbym ja tak zaraz teraz wypuścił hrabiego z rodziną na słowo honoru?

— Co? — odrzekł Gawel — w twoich oczach bym zaraz przebił hrabinę.

— A ja nie czekając na to — odrzekł Eberek — posiekam cię natychmiast w kawałki.

— No spróbuj — rzekł Gawel, dobywając również miecza i przysuwając się do bandyty — spróbuj, ale rachuj tylko na siebie, nie licz na pomoc twoich ludzi. Nikt ci nie pomoże, bo już im zanadto twojej swawoli.

I rzeczywiście z całej bandy nie ruszył się nikt z pomocą Eberekowi. Przekonał się, że z zuchwalcem takim jak Gawel, nie będzie ła-

twoja sprawa, to też udał, że się uspokoił i rzekł łagodnym głosem: Zuch z ciebie, mój Gawle, chciałem cię wypróbować, podobasz mi się za to! Nie obawiaj się, słowa dotrzymam. Z ciebie człowiek, na którego się spuścić można, to też muszę ci powierzyć ważną jedną sprawę. — To powiedziawszy, schował miecz do pochwy a ująwszy Gawła pod rękę odprowadził go na stronę i tam po cichu tak mu rzekł: W Turyngskich lasach mieszka Czerwony Henryk, mój stary przyjaciel. Musisz go odszukać; dam ci 10 ludzi na drogę i powiedz mu, żeby się z nami połączył, bo widzę, że coraz więcej wrogów się gromadzi przeciwko nam, trudno by samym dać sobie radę z nimi. Spraw się dobrze, Genowefę możesz zabrać ze sobą.

Gawel oświadczył, że gotów jest spełnić to polecenie, ale na dowód szczerości, żądał, aby mu natychmiast oddał Genowefę. Eberek uczynił i temu zadość, zwrócił się do więźniów i głośno, tak żeby wszyscy słyszeli, rzekł do nich: Porozumiałem się z Gawłem, odtąd hrabina przez trzy miesiące należy do niego.

Gdy Genowefa usłyszała ten wyrok Ebereka, zemdląła, ledwie mąż ją zdołał podtrzymać, bo by była upadła. Gawel przyszedł ku niej i odrywając ją przemocą od męża i syna, rzekł: Raz trzeba skończyć te płacze.

chodź tutaj ze mną! Ale daremno się opierasz i wy ją trzymacie; ja wam jeszcze lepiej pokażę, co Gawel potrafi. — To mówiąc, ciągnął Genowefę za sobą.

Skoro się jednak tak już oddalił, że go nikt podsłyszeć nie mógł, rzekł do Genowefy przytłumionym głosem: Nie zdradź pani ani głosem, ani ruchem tego, co do ciebie mówię, opieraj mi się a ja ciągnąć będę. Wierz mi pani, że jak byłem wierny, tak pozostać chcę nadal tobie i mężowi. Słuchaj pani! hrabia wypędził dwóch ze służby, ci są u Ebereka, oni to zdradzili wejście tajemne do zamku. Nie mogło was nic uratować, bo Eberek miał dużo ludzi i bez hałasu dostał się z nimi do wnętrza. Ale pani opieraj mi się wciąż!... Tylko podstępem dało się wam uratować życie. Powiedziałem Eberekowi, że hrabia ma ogromne pieniądze złożone u kupców w Wormacji, podsunąłem mu myśl, żeby was nie zabijał, tylko zażądał okupu. Chciał wasz zamek spalić, odradziłem mu to, mówiąc, że przez to narazi się na ściganie ze strony Eberharda. Udałem, że przyjmuję u niego służbę, że mu pomagać będę, byle mi cię oddał na trzy miesiące. Ale przysięgam ci, pani, na Boga, którego kochać pragnę, a z którym pogodziłem się za przyczyną twoją i twych modłów, że to wszystko robię dlatego,

aby was tem łatwiej ocalić. Pod moją opieką będziesz tak bezpieczną, jak w klasztorze, nie potrzebujesz się niczego obawiać. A teraz wyrwij się mi, ja cię będę gonił. Pobiegnij do męża i do syna i opowiedz im to wszystko, ale zaklinam cię na Boga, powiedz im, żeby żadnym ruchem ani słowem, ani zachowaniem się nie zdradzili przed nikim o tem, co wiesz ode mnie.

Genowefa ucieszyła się niezmiernie, słysząc to wszystko, poskromiła jednak w sobie radość, wydzierając mu się czas jakiś, potem uciekła od niego.

— Uciekaj sobie — rzekł Gawęł, tak, że go inni słyszeć mogli — już ja ciebie i tak dostanę, że mi się nie wymkniesz więcej.

W tej chwili jakiś hałas zwrócił jego uwagę, bandyci schwytali kogoś i prowadzili ku Eberkowi. Ten zawołał Gawła i zapytał go, czy nie zna przypadkiem tego człowieka. Był to Kunc w pielgrzymim stroju, który przekradał się właśnie do obozu Wolfa.

Gawęł się zbliżył doń, popatrzył mu w twarz, potem roześmiał się i rzekł: I to też połów nie lada! dawny mój znajomy, głupi Piotruś, któremu się zdaje, że zrobił lekarstwo zabezpieczające ludzi od śmierci. Na podziękowanie Bógu za to, postanowił iść do Jerozo-

limy, ale mu nie sporo, łązi tylko po chałupach i zachwala lekarstwo swoje, za to go ludzie żywią i dają mu czasem jakiś grosik. Dajcie mu jeść lepiej i puśćcie tego głuptasia!

Bandyci poczęli sobie drwić z głupiego Piotrusia, dali mu potem resztki jadła i puścili go. Po chwili poczęli się zbierać wszyscy w dalszą drogę. Gawęł z dziesięciu ludźmi miał się udać do Turynngji i zabrał ze sobą Genowefę. Smutne było pożegnanie małżonków.

W chwili, gdy już Gawęł miał wyruszyć, zawołał Eberek jednego z jego towarzyszy, Marcina, i rzekł doń: Pamiętaj, że dziś w nocy jeszcze masz sprzątnąć Gawła, on mi już poczyną zawadzać; potem przyprowadzisz hrabinę do mnie a ja ci dam sowitą nagrodę.

W duszy jednak myślał Eberek inaczej, zdradził się złośliwym uśmiechem przed Marcinem, tak, że ten dorozumiał się, że i jego potem to samo miało spotkać, co Gawła. Ułożył więc sobie inny plan; postanowił zabić Gawła, porwać hrabinę, odebrać za nią okup a potem sam z temi pieniędzmi wynieść się w zupełnie inne strony.

ROZDZIAŁ VII.

Adela.

Gościńcem prowadzącym z Koblencji do Trewiru, pomiędzy starymi, odwiecznymi lasami, przejeżdżał wieczorem pewnego dnia orszak rycerzy. Na przodzie jechał oddział zbrojnych z chorągwią, za nimi o sto kroków jakaś młoda, przyjemna pani, w towarzystwie dwóch rycerzy i kilku giermków — i młoda, może dwunastoletnia panienka. Cały pochód zamykał znowu orszak zbrojnych. Bogate zbroje rycerstwa, piękne szaty giermków, dzielne konie, zdradzały, że to orszak jakiegoś znakomitego pana. Był to hrabia Hugon de Vermandois, brat króla francuskiego, Filipa. Córka jego, Teresa, ukończyła właśnie nauki w klasztorze i po nią to ojciec wysłał ten świetny orszak rycerstwa a przyłączyło się doń kilku znakomitych rycerzy z okolicy. Teresa była zaręczona z hrabią de Blois i Charles i niezadługo miało już być wesele. Druga, młodsza, była to Adela, ulubienica ojca, dziecko prawie, żwawe, wesołe, prosiła tak długo ojca, żeby ją wziął ze sobą, aż jej musiał wreszcie pozwolić.

Adela wstrzymywała cały pochód. To piękny jakiś kwiatek, to jagódka zwracały jej

uwagę, tak, że orszak musiał się wolniej posuwać, niż sobie tego życzył dowódzca Gideon de Rames.

Właśnie znowu odbiegła, bo zobaczyła rosnące nad rowem jagody. W tejże jednak chwili dał się słyszeć krzyk, ukazała się jakaś postać, która porwała dziewczynę i uprowadziła w głąb lasu. Natychmiast dowódzca kazał zsiść z koni 80 ludziom i przeszukać las, aby zbrodniarz nie uciekł. W cichości posuwali się żołnierze szeregiem jeden obok drugiego i doszli za chwilę nad szeroki rów, przez który przepływał potok. Na drugim jego brzegu było trzech mężczyzn, jeden z nich trzymał konie a dwóch ciągnęło do brzegu tratwę, na której niezawodnie ten rów przepłynęli. W tejże chwili wyszedł z gęstwiny tęgi i barczysty mężczyzna, w hełmie, z czerwonym piórem na głowie. W lewej ręce trzymał konia za cugle, w prawej trzymał Adełę. Mężczyzna ten tak się odezwał do ścigających żołnierzy: Powiedzcie waszemu panu, że Stefan Eberek porwał jego córkę. Nie chcę za nią żadnego okupu, ale hrabia ma mu wyrobić u swego brata, króla francuskiego, tytuł rycerza francuskiego i pozwolenie przebywania we Francji z wszelkiem bezpieczeństwem. Dokument na to ma podpisać sam król i własną pieczęć przyłożyć.

Od dziś za sześć tygodni najpóźniej ma być ten dokument przybity na drzwiach kościoła katedralnego w Trewirze, inaczej w tydzień później znajdziecie tam głowę hrabianki Adeli. — To powiedziawszy, popędził ze swoimi towarzyszami w gęstwinę.

O dalszym ściganiu nie było mowy, bo równy był zbyt głęboki, Gideon wrócił przeto z żołnierzami i opowiedział Teresie skutek swej wyprawy. Zmartwieni i zgryzieni wrócili wszyscy do zamku.

Hrabia Hugon ani myślał prosić króla o dokument, którego Szczepan Eberek odeń żądał, postanowił zbrojną ręką pomścić swej krzywdy i ukarać złoczyńcę. Gideon objechał wszystkie zamki w okolicy nadreńskiej położone i zwołał wszystkich rycerzy na wspólną wyprawę wojenną przeciw bandzie Ebereka. Eberhard z Breitensteinu i Wolf przyłączyli się do wojsk Gideona. — Pewnego dnia wypoczywał sobie Eberhard wraz z Wolfem przed swoim namiotem, gdy wtem przyszło czterech ludzi zbrojnych, prowadząc za sobą Ojca Norberta i Szymona. Szymon był dawniej giermkim u Ebereka i jemu to polecone było zabicie Berty. Za wstawieniem się Berty przebaczył mu Eberhard i dał mu chatę i kawałek gruntu, tak że mógł uczciwie i spokojnie pędzić żywot.

Eberhard zdziwił się, zobaczywszy ojca Norberta w obozie i zapytał go, co go do tego spowodowało.

— Ważne przyczyny — odrzekł zakonnik — ciekawą wieść przyniósł mi Szymon, dla tego też zaraz udałem się do waszego zamku, ale tam mi powiedziano, iż teraz jesteście w obozie, pospieszyłem więc coprędzej. Jednakże Szymon lepiej wam to opowie:

Wtedy Szymon począł opowiadać co następuje:

— O dwie mile ode mnie mieszka ciotka moja Gertruda; otóż wczoraj posłała ona po mnie, bo mi miała coś ważnego do powiedzenia. Parę dni temu był u niej Marcin, ten sam, co niegdyś służył u hrabiego Zygfryda a potem przyłączył się do bandy Ebereka. Nie był sam, bo z nim było kilku ludzi zbrojnych i jakaś pani, której oni pilnowali. Marcin opowiadał ciotce, że mu już zbrzydła służba u Ebereka, tembardziej, że wie napewno, że Eberek chce go potajemnie zgładzić, chce przeto porzucić swego pana. Ale pragnie się na nim pomścić, wydać tego łotra w ręce sprawiedliwości. Chce tę panią, którą odprowadzał, wydrzeć Eberekowi, wziąć za nią okup i zatrzymać go dla siebie. Na głowę Ebereka naznaczona jest też wysoka nagroda, ale do tego sam

nie jest dość silny, by się na to porwał, szukał więc pomocy. Gertruda wspomniała mu o mnie, on się tem ucieszył i opowiedział jej, gdzie się Eberek ukrywa i jak się do niego można dostać. Poszedłem zaraz na to miejsce i rzeczywiście znalazłem tak samo, jak to Marcin ciotce opisał.

— A więc wiesz, gdzie się Eberek ukrywa? — zapytał go Eberhard.

— Tak jest — odrzekł Szymon. — Jest to jaskinia w skałach tuż nad ujściem jednej z pobocznych rzek do Renu. Wodę z tej rzeki można z łatwością sprowadzić do jaskini i zalać ją, tak, że nikt stamtąd żywy nie ujdzie. Ale tak trudno opisać, trzebaby być na miejscu i widzieć wszystko; gotów jestem zaprowadzić was na miejsce. O nagrodę mi tam nie idzie, ale chętnie chciałbym zemścić się na tym lotrze.

Eberhard dosiadł natychmiast konia i w towarzystwie kilku zbrojnych pospieszył do Gideona, który o milę stąd stał obozem ze swoim wojskiem. Oznajmił mu wszystko, co usłyszał, poczem naradzili się względem wyprawy i schwytania Ebereka. Rankiem wczas, jeszcze przed świtaniem ruszyły oba oddziały. Eberhard szedł lewym brzegiem Renu, za biegiem rzeki, trudną i niebezpieczną drogą, po

górach, zarosłach i manowcach, poczem rozłożył się z wojskiem na małym wzgórzu, zasłoniętem gęstemi zaroślami. Sam zaś ze Szymonem poszedł zbadać dojście do jaskini. Na północnej stronie wzgórza zatrzymali się chwilę, całą drogę czołgali się na czworakach aby ich nikt nie dojrzał. U stóp wzgórza wpadało do Renu kilka górskich potoków, które zlewały się tutaj w jedną rzekę. Nad tą zatoką wznosiła się skała a w niej na 4 stopy ponad powierzchnią wody był otwór. Tędy było wejście do jaskini. Bandyci dostali się do niej na łodziach, za odłamem skały widać było nawet ukryte czołna. Potem przeprawili się obaj na prawy brzeg Renu i ukryli się w lesie, tuż naprzeciw jaskini Ebereka. Dla bezpieczeństwa wzięli ze sobą 100 pieszych i 20 konnych.

— Widzisz pan — rzekł Szymon do Eberharda — tę skałę tu nad wodami Renu? Ma ona przynajmniej 150 stóp wysokości. Na górze wznosi się tam płaszczyzna a w niej dwie rozpadliny, które prowadzą do jaskini Ebereka; jedną wychodzi dym z jaskini, drugą po drabinie wychodzą bandyci. Przez te rozpadliny wpadał przed dawnymi czasy potok do wnętrza jaskini, ale przed 50 laty jakiś rabuś, których tu nigdy brak nie było w tych okolicach, nadał inny kierunek potokowi, rowami spro-

wadził potok na dół do zatoki i tym sposobem osuszył jaskinię. W niej obrał sobie siedlisko. Dziś zajął ją po nim znowu Eberek. Gdybyśmy ten rów zasypali i rozebrali tę tamę z kamienia, co ją tu pan widzi, potok wróci na dawne miejsce, zaleje jaskinię i wszystkich, co się w niej znajdują. Wtedy jedyne wyjście jest przez zatokę, dlatego trzeba tu przygotować kilka łodzi z ludźmi zbrojnymi a ci powstrzymaliby bandę w ucieczce.

— Dobry to pomysł, to prawda — odrzekł Eberhard — w ten sposób potrafilibyśmy Eberka zgładzić, o tem niema ani mowy, ale widzisz, nam tu chodzi także o ocalenie tych więźniów, których Eberek tam trzyma. W ten sposób musieliby i oni zginąć.

— To się rozumie, ale nad tem, jak ich ocalić, niech pan pomyśli — odrzekł Szczepan. Ja z 4 ludźmi przygotowuję wszystko, by zburzyć tamę za jaskinią. Jak pracę skończymy, wywieszę na znak, że wszystko gotowe, czarną chorągiew na wysokiej tyce. Kiedy pan ze swej strony wywiesi czerwoną chorągiew na tym pagórku, będzie to znakiem, żeby tamę do reszty rozburzyć.

Szymon przeprawił się potem na lewy brzeg Renu, aby sobie dobrać czterech ludzi

do roboty. Eberhard pozostał jeszcze chwilę i przemyślał, jakby tu więźniów w jaskini ocalić od niechybnej śmierci.

ROZDZIAŁ VIII

Ucieczka.

Jak to już powiedzieliśmy, Gawel wziął ze sobą 10 ludzi. W pośród nich był niejaki Anzelm. Był to syn uczciwych i zamożnych rodziców. W szkołach będąc, nauczył się rozpusty i pijaństwa i to go popchnęło w długi. Bał się przyznać z tem przed rodzicami i bał się więzienia, do którego mogli go zamknąć wierzyciele podług praw owego czasu, uciekł więc potajemnie z miasta i przyjął służbę u Ebereka. Mimo to pozostał w gruncie dobrym człowiekiem, czuł wstręt do tego rzemiosła zbójckiego, które prowadził. Przyłączyła się do tego nienawiść do Ebereka, ten bowiem napadł dworek jego rodziców, obrabował ich ze szczerem i dom ich spalił; czekał więc tylko chwili, by się zemścić na Ebereku. Gawel mu się spodobał; podziwiał jego odwagę w czasie sprzeczki z Eberekiem i polubił go za to. Postanowił skorzystać z podróży Gawła, przyłączyć się do jego towarzystwa i w czasie podróży uciec.

Droga była bardzo przykra, spieszono się a unikać musiano dróg otwartych, tylko manowcami szli bandyci. Do tego przyłączyły się głód i pragnienie, bo nie mieli żadnych zapasów żywności. Genowefa osłabła bardzo, nogi jej popuchły, musiano ją podtrzymywać i odpoczywać często. Gawel postanowił ją doprowadzić do klasztoru zakonnic i tam umieścić a potem miał pomyśleć, jak przyjść z pomocą hrabiemu i synowi. I Marcin starał się przez całą drogę przypodobać Genowefie, pocieszał ją, starał się o jej wygody i usiłował uczynić zadość jej życzeniom. To postępowanie Marcina obudziło nieufność Gawła, dorozumiewał się, że musi ten bandyta mieć w tem jakiś cel ukryty. Do tego Gawel obrał drogę wprost przeciwną a nie tę, co do Turyngji prowadziła a Marcin mu wcale na to nie zwrócił uwagi, tylko odradzał wciąż klasztor a radził na noc spocząć w pobliskiej karczmie, gdzie miał swoich znajomych. Że musiał coś mieć na myśli, przekonał się Gawel z tego, iż przez chwilę pozostał zupełnie w tyle i coś rozprawiał z bandytami.

Było już późno wieczorem, kiedy stanęli pod karczmą. Do klasztoru nie było już daleko, bo zaledwie pół godziny, mimo tego Marcin

i towarzysze o dalszej podróży nie chcieli ani słyszeć i postanowili tu przez noc wypocząć.

Przed karczmą siedziała jakaś baba, była to karczmarka, musiała być dobrze znajoma Marcinowi, bo mu zaraz podała rękę i długo coś z nim rozprawiała. Minęło ćwierć godziny, zanim się ta narada skończyła, poczem Marcin zbliżył się do Gawła i rzekł: W karczmie są tylko dwie izby, w mniejszej będziecie wy Gawle z hrabiną, we większej pozostaniemy my wszyscy. Mleka i chleba jest dość tutaj a i słomy na poślanie nie braknie.

Gaweł odradzał tu pozostać, chciał koniecznie iść do klasztoru, ale Marcin się sprzeciwiał, z nim reszta bandy i tak musiał Gaweł przystać na nocleg w karczmie. Bandyci poszli zjeść wieczerzę, Gaweł pozostał na dworze zaniepokojony i przemyślał nad tem, co Marcin w tem mieć może, że tu chce koniecznie nocować. Wtem zbliżył się ku niemu Anzelm i półgłosem, zwrócony umyślnie w inną stronę, tak doń przemówił:

— Nie cierpię Ebereka, postanowiłem raz porzucić to życie; zaręczam wam, że z tej wędrówki już więcej do niego nie wrócę. Polubiłem was i pragnę was ocalić. Eberek polecił Marcinowi zamordować was i przyprowadzić hrabinę napowrót do siebie. Ale Marcin, który

otrzymał to polecenie, chce zabiwszy was, zabrać hrabinę, by otrzymać dla siebie okup. Dziś będziecie nocować oboje w małej komorze, gdzie jest małe, silne zakratowane okno, którem nie uciekniecie. Zaporę zamknie za wami Marcin i koło północy przyjdzie was zabić. Ja mam być aż do tego czasu na straży. W komorze jest tak ciasno, że się tam nie potraficie obronić jemu a inni towarzysze mają pomóc Marcinowi. Ale ja wam drzwi otworzę, skoro tylko wszyscy zasną i uciekniemy do klasztoru. Uważajcie przeto a nie zdradźcie się z tem, co wiecie.

To powiedziawszy, odszedł. Tymczasem przyniesiono wieczerzę, chleb i mleko. Wszyscy się wzięli do posiłku, tylko Marcin nie jadł a uśmiechając się, przyglądał się Gawłowi. Po wieczerzy począł wszystkich naganiać do spania, co też chętnie uczynili bandyci, byli bowiem bardzo znużeni podróżą.

Gaweł z hrabiną, poszedł do wyznaczonej mu komory a Marcin po cichutku zasunął za nim zaporę. Anzelm stanął na straży przede drzwiami. W pół godziny spało już wszystko snem twardym.

Genowefa zostawszy sam na sam z Gawłem w komorze, była pod wpływem przestachu. Wiedziała, że dawniej był jej wro-

giem, teraz zaś nie wiedziała, co ma sądzić o nim. A jeśli to wszystko, co jej mówił, jest tylko obłuda? Ukłękła i poczęła się modlić. Wtem posłyszała szmer na słomie. To się Gaweł do niej zbliżał; już miała krzyknąć, gdy on do niej odezwał się przyciszonym głosem: Niech pani hrabina nie śpi i nie boi się; grozi nam obojgu niebezpieczeństwo. Musimy uciekać z tej gospody; za chwilę otworzy nam drzwi jeden z bandytów, który nam chce w tem dopomóc. Odprowadzimy panią do klasztoru.

— Ale ja nogą ruszyć już nie mogę — odezwała się Genowefa. — Pozostawcie mię już lepiej tutaj a uciekajcie sami.

— Nie, tego uczynić nie mogę — odparł Gaweł — kiedy nadarza się taka dobra sposobność; poniesiemy cię, pani, ale teraz zachowaj się cicho. Anzelm już idzie.

Anzelm otworzył cichutko drzwi i wyprowadził Genowefę. Już byli przy progu, gdy przypadkiem trącił Anzelm nogą jednego z bandytów. Ten przebudził się i zapytał: kto tu? Na to przebudził się i Marcin. Ale Anzelm nie stracił przytomności, tylko odrzekł: Cicho bądźcie, bo pobudzicie wszystkich; wyciągnąłeś tak nogi, że trudno przejść, coś około okna przeszło, muszę iść popatrzeć, czy kto nie jest.

— A, to pewnie mąż gospodyni wraca, idź, wyrzyj przed dom — odrzekł Marcin.

Anzelm otworzył drzwi, wypuścił Gawła i hrabinę i wyszedł za nimi. Obaj wzięli hrabinę pod rękę i pospiesznie udali się w stronę klasztoru. Zaledwie jednak uszli kawałek, spotkali tuż pod lasem kilkoro ludzi. Nieśli na ramionach siekiery; byli to więc drwale, wracający z roboty z mężem karczmarki. Zastąpili im drogę, zapewne chcąc ich obedrzeć, ale Gawel nie tracąc przytomności, przystąpił ku pierwszemu z nich i rzekł: Jeżeli się nie mylę, toście wy mąż karczmarki Małgorzaty?

— Tak jest — odrzekł zapytany — a cóż chcecie ode mnie?

— Oto widzicie — rzekł Gawel — zachorowała mi żona ciężko i chcieliśmy ją z bratem zanieść do klasztoru. Ale już nam sił nie staje, dźwigamy ją a ona wciąż bezsilna. Możebyście nam pomogli.

— A dajcież nam spokój — odrzekł drwal i odskoczył przerażony — to ona pewnie dostała morowego powietrza! — Przerażeni drwale odskoczyli na te słowa i rozbiegli się na wszystkie strony.

W czasach owych, pielgrzymi wracający z Ziemi świętej, przynieśli do kraju zarazę, która mnóstwo ludzi zabierała a nikt nie znał

na nią lekarstwa. Gawel i Andrzej widząc, że drwale pouciekali, wzięli Genowefę pod ręce i puścili się dalej w drogę. Bali się i nie bez przyczyny, że mąż karczmarki, powróciwszy do domu, opowie wszystko a wtedy Marcin spostrzeże ich ucieczkę i pocznie ich ścigać, to też spieszyli, co mogli.

Wreszcie stanęli przed klasztorem i zadzwonili u furty. W oknie pokazała się zakonnica i zapytała, czego potrzebują o tak późnej porze.

— Prosimy o przytułek dla nas, to jest dla mnie, brata i mojej chorej żony — odpowiedział Gawel.

— Kobiętę wpuszczę — odrzekła zakonnica — ale mężczyzn nie wolno.

Już miała otworzyć, gdy wtem w oknie na pierwszym piętrze ukazała się twarz ksieni i dał się słyszeć głos: Siostró Sybillo! nie wpuszczaj tych ludzi! To tylko pozór, to pewno są rozbójnicy, bo oto cała banda podejrzanych ludzi pędzi za nimi w stronę klasztoru.

Za chwilę stanął pod bramą klasztorną Marcin ze swoimi bandytami. Gawel położył hrabinę pod murem, oparł się podobnie jak Anzelm o ścianę i postanowili się bronić do upadłego. Marcin, ujrawszy Gawła, rzucił się na niego z dobytym mieczem, wołając: Ha, zdraj-

co, mam cię, nie ujdiesz mi ty teraz! — Wszczęła się walka, wśród której padł Marcin trupem. Ale pozostali towarzysze rzucili się teraz na broniących się pod murem. Jeden z nich zadał ciężką ranę Gawłowi w nogę, drugi począł ciągnąć Genowefę ku sobie za włosy. Gawel i Anzelm walczyli jak lwy, położyli jeszcze paru trupem, ale i tak nie długo opierać by się zdołali przeważającej liczbie, gdyby nie nadeszła im w samą porę pomoc.

Zakonnice przerażone walką, poczęły na gwałt dzwonić. Przypadek chciał, że tą okolicą przechodził oddział zbrojny, który zamierzał iść do Ziemi świętej na wojnę z Turkami; ci żołnierze słysząc dzwonenie na gwałt, myśląc, że klasztor napadli jacyś zbójcy, pospieszyli z pomocą. Widok nadjeżdżających, przeraził bandytów — uciekli. Zostało tylko na placu trzech zabitych i dwóch rannych, Gawel, Anzelm i hrabina.

Dowódca zbliżył się do Gawła i zapytał go, kto jest ta kobieta, co leży pod murem i kto był dowódcą w walce przed chwilą rozegranej. Gawel opowiedział a do tego wyszły zakonnice i potwierdziły to, co widziały na własne oczy.

Dowódca oddziału należał do wojsk hrabiego Vermandois i miał oczekiwać swego pa-

na w pobliskiem mieście, aby z nim razem wyruszyć potem do Palestyny. To też chcąc sprawdzić, czy to prawda, co mu Gawel mówił, zabrał hrabinę wraz z Gawłem i Anzelem ze sobą, przyrzekając im wszelką opiekę. Obaj serdecznie podziękowali Bogu i dowódcy za pomoc udzieloną w tak stanowczej chwili i ruszyli wraz z oddziałem.

ROZDZIAŁ IX.

Jaskinia Ebereka.

Eberek po porwaniu Adeli pędził, co koń wyskoczy ku jaskini, wtem potknął się koń i on spadł z niego, przyczem potłukł sobie bardzo nogę. Przybywszy do jaskini, musiał się położyć i leżał już od paru tygodni w łóżku. Ale rana goiła się bardzo źle, bo Eberek przyzwyczajony był do trunków i nawet w chorobie upijał się często. Był przytem bardzo zły, kłął i rzucał się a i to nie ułatwiało leczenia. Marcin nie wracał, ani Gawel, przypuszczał więc, że się obaj zmówili i okupem za Genowefę się podzielili. Gniewało go to, że chorym będąc, nie może się puścić za nimi w pogoń, aby się pomścić a tymczasem rana była coraz gorsza, boleści coraz większe.

O sprowadzeniu lekarza nie było mowy. Eberek nie zrobiłby tego nigdy, gdyż bał się zdradzić swej kryjówki. Gdy się Bolesław dowiedział o chorobie bandyty, przyszedł do niego i rzekł: Znam się na sztuce leczenia chorób, jeśli chcesz, to cię wyleczę.

Zdziwił się Eberek, słysząc te słowa, nie mogło mu się to w głowie pomieścić, by ten, którego w więzieniu trzymał, chciał mu naprawdę zdrowie przywrócić. Ale Bolesław rzekł mu na to:

— Jako chrześcijanin, chcę dobrem za złe ci odpłacić, tak jak mi to religia nakazuje. Ty, jeżeli chcesz, możesz przystać na to, jeżeli nie, to twoja wina będzie.

Boleści jednak dokuczały tak Eberekowi, że nie było się co namyślać, odezwał się przeto tylko tyle: Próbuje, jeśli mi gorzej będzie, to cię każe powiesić, jeśli mię wyleczysz, to ci dam najpiękniejszy klejnot z mego skarbcza.

Bolesław obejrzał ranę i powiedział, że do wyleczenia potrzeba mu pewnych ziół, których musi sam poszukać. A zioła te muszą być świeże, to też nieomal codziennie wypadnie mu po nie chodzić.

— A nie mógłbyś ich nakopać w lesie a przynieść tutaj? — zapytał Eberek. — W pobliżu jaskini jest kawałek urodzajnej ziemi, za-

sadziłbyś je tam i nie potrzebowalbyś ich chodzić codzień szukać.

— Mogę spróbować i tego — odrzekł Bolesław — choć nie wiem, czy się przyjmą.

Eberek wydał jakieś polecenie i czterech bandytów wzięło zaraz Bolesława pomiędzy siebie, zawiązali mu oczy i wyprowadzili z jaskini do lasu. Tu pod ich strażą nazbierał roślin, ile tylko mogli zabrać i przynieśli je do jaskini. Jeden ze zbójców zaprowadził go potem po drabinie przez szczelinę na małą równinę, gdzie było trochę urodzajnej ziemi. Tu Bolesław zasadził swe ziola.

Trzech z bandytów, którzy pilnowali Bolesława, udali się do Ebereka i opowiedzieli mu, że zdybali w lesie jakąś kobietę zbierającą grzyby, która im opowiedziała, że w okolicy zbiera się mnóstwo wojska.

— Pewnie wysledzili naszą kryjówkę — odpowiedział Eberek — i myślą, że mię dostaną. Jak to dobrze, że to zawczasu przewidziałem i zaopatrzyłem się w żywność na czas dłuższy. Ale ostrożność nie zawadzi. Trzeba zmniejszyć liczbę osób, by na dłużej wystarczyło. Z naszych więźniów trzeba wybrać tych, co się okupić mogą i przeprowadzić ich do baszty. Zygfryd ze synem i Adela tu w jaskini pozostaną, innych trzeba zabić! Bandyci

pochwalili plan Ebereka i odeszli, ale sobie inny plan ułożyli dla siebie.

Nie powiedzieli mu, że hrabia francuski, któremu Eberek skradł córkę, poprzysiągł póty nie ustąpić, póki Ebereka nie dostanie. Do tego znienawidzili już i oni swego wodza, bo nikt przy nim nie mógł być pewnym życia swego a słowa im nie dotrzymywał; bali się też dostać w ręce sprawiedliwości, wiedzieli bowiem, co ich tam czekało, to też postanowili ukraść skarby nagromadzone w jaskini i uciec z niemi. Dobrali sobie jeszcze do tego kilku zaufanych i korzystając z polecenia przeprowadzenia więźniów do baszty, plan wykonali. W nocy zabrali skarby i popędzili z niemi, a potem wypuścili więźniów i kazali się im gotować do drogi. Nieszczęśliwi myśleli, że wybiła ich ostatnia godzina, to też poczęli płakać i narzekać. Bandyci postanowili zabrać z sobą i hrabiego Zygfryda. Jeden z nich zbliżył się ku niemu i rzekł: Panie hrabio, chodź z nami, ale bądź ostrożnym, nic ci się złego nie stanie. — Na trzech łodziach przebyli zatokę pod skałą i znaleźli się nad brzegiem Renu. Tu jeden ze zbójców oświadczył więźniom, że wyprowadzili ich z jaskini, aby im wolność przywrócić. Zapanała ogromna radość wśród gromadki więźniów. — W zamian jednak żądamy od

was — dodał tenże zbójca, — że jak dojdziecie do oddziału wojsk, otaczających wokół jaskini, abyście użyli wszelkiego wpływu i stosunków z okolicznem rycerstwem, by nas wolno puszczono. Udamy się w odległe strony i myślimy rozpocząć uczciwe życie. Szczególniej ty hrabio Zygfrydzie, którego tu wszyscy znają i szanują w okolicy, musisz nam to przyrzec.

Hrabia Zygfryd przyrzekł im to uczynić i dołożyć wszelkich starań, by ich wolno puszczono. Właśnie dojrzał u stóp wzgórza, na którym się znajdowali, rozłożony obóz i domyślił się, że to są wojska zebrane przeciw Eberkowi. Natychmiast zeszli więc ze wzgórza i zbliżyli się do rozstawionych straży. Tu Zygfryd kazał się wszystkim zatrzymać i zażądał widzieć się z dowódcą. Był nim Gideon z Rames, dawny przyjaciel i towarzysz broni hrabiego. Jako dawni znajomi uścisnęli się serdecznie i przywitali, poczem Zygfryd opowiedział swą sprawę. Długo opierał się Gideon, wreszcie ustąpił. Wtedy Zygfryd oznajmił bandytom, że Gideon pozostawia im wolne przejście przez obóz i pozwala każdemu udać się w swoją stronę. Wiadomość ta ucieszyła wszystkich niezmiernie. Kilku z ułaskawionych zbójców i Zygfryd pozostali dobrowol-

nie w obozie, inni posiliwszy się i odpocząwszy, udali się w dalszą drogę.

Wróćmy się tymczasem do jaskini. Bolesława przeznaczył Eberek do posług swoich, musiał być ciągle przy nim, to też nie mógł się nic dowiedzieć o ojcu, ani widzieć go, lubo wiedział, że się tak samo jak i on w jaskini znajduje. Raz zapytał się Ebereka o ojca, ale ten odpowiedział mu szorstko: Ani mi się pytaj o niego, jeżeli ci życie miłe.

Jedyną osłodą była mu modlitwa. W wolnych od posług chwilach wydobywał krzyż, który był niegdyś pociechą Genowefy na puszczy, a który zabrał ze sobą tej strasznej nocy, kiedy Eberek zajął zamek, klękał przed nim i modlił się gorąco do Boga za siebie i za rodziców. Modlitwie zawdzięczał, że nie popadł w rozpacz i nie zaraził się złymi przykładami, na które wciąż musiał patrzeć. Zachował serce niewinne, tak jak je miał przedtem.

Niemalą pociechą w nieszczęściu i osamotnieniu było mu towarzystwo Adeli. Adela była tej myśli, że bandyta porwał ją jedynie dla okupu, wiedząc, że ojciec jej był bogatym, sądziła, że niezadługo skończy się jej więzienie. To też nie martwiła się wiele, była wesolą. Między Bolesławem i Adelą zawiązała się też serdeczna przyjaźń. Posługiwali choremu Ebe-

rekowi, który upodobał sobie w ich towarzystwie, szczególniej podobało mu się wesołe usposobienie Adeli, ale pomimo to nie zrzekł się myśli pozbawienia jej życia, gdyby nie został mianowany rycerzem francuskim.

A właśnie tylko 24 godzin oddzielało ich od czasu, kiedy Eberek miał się dowiedzieć o postanowieniu króla francuskiego. Bolesław leczył Ebereka dalej, rana goiła się dobrze. W tym celu musiał on pielegnować zioła zasadzone na kawałku urodzajnej ziemi koło jaskini. Chodził do nich często i to mu sprawiało niemałą rozrywkę a zbójcy nie przeszkadzali mu wcale wychodzić do nich, ile razy zechciał.

W wigilię świętej Anny wyszedł jak zwykle do swych ziół i zajął się ich podlewaniem. Wtem usłyszał za sobą cichy, przytłumiony głos, który wymówił jego imię. Zdziwiony, podniósł głowę i ujrzał nad sobą na skale leżącą jakąś postać. Był to Szymon.

— Czy słyszysz mnie — pytał Szymon.

— Słyszę — odrzekł Bolesław.

— Nie dosłyszysz tego, co ci powiem, kto inny prócz ciebie? — pytał dalej Szymon.

Szymon opowiedział Bolesławowi, że ma zamiar zalać jaskinię, oznajmił, że ojciec i inni jeńcy już uwolnieni, że trzeba jeszcze ocalić jego i Adelę, gdyż inaczej czeka ich tam śmierć

niechybna. Jedyna droga jest tylko przez ten ogródek. Pojutrze przyniesie przeto rano, wtenczas, gdy na Mszę świętą dzwonić będą, drabinę, po niej ma wydostać się Bolesław z Adelą na tę skałę, na której on stoi. Równocześnie rozerwą jego ludzie tamę i spuszczą wodę do jaskini. Opowiedziawszy mu to oddalił się Szymon. Ucieszyło to Bolesława, ale przerażało zarazem ze względu na Adelę; nie wiedział, czy ona będzie w stanie utrzymać się na drabinie a bez niej ani myślał opuszczać jaskini. Upadł na kolana i modlił się gorąco, prosząc Boga, aby pobłogosławił jego ucieczkę i dodał mu sił potrzebnych do tego. Modlitwa gorąca pokrzepiła go na duchu.

Eberek był tego dnia nadzwyczaj wesoły. Nie wątpił ani na chwilę, że król go zrobi rycerzem francuskim, że mu ujdą bezkarnie jego zbrodnie i dlatego się tak cieszył. Rano wczas wysłał jednego z bandytów do Trewiru, by mu przyniósł dokument królewski. Nie przeczuwał, co go czekało; na drzwiach katedry przybity był dokument zupełnie innej treści. Wyzначzył w nim król wysoką nagrodę na głowę Ebereka i rozkazywał go ścigać zbrojną ręką. Kiedy wysłany bandyta to przeczytał, czemprędzej wrócił się, by panu oznajmić wolę króla francuskiego. Właśnie wrócił i opowiadał kil-

ku innym to, co w Trewirze przeczytał. Wiadomość ta przeraziła Bolesława.

Wiedział dobrze, że jeżeli Eberek dowie się o tem, zanim mu się uda opuścić jaskinię, to życie Adeli będzie w niebezpieczeństwie. Zbliżył się przeto do bandytów i przysłuchiwał się spokojnie ich rozmowie. Wysłany do Trewiru zobaczył go i spytał, czy się może widzieć z Eberekiem.

— Możesz — odrzekł Bolesław — ale jeśli ci życie miłe, to zachowaj swoją wiadomość do jutra, bo dziś szaleństwo go znów napada, na mnie rzucił teraz nożem, za to, że radziłem mu wstrzymać się przez parę dni od wina. Szczęściem skoczyłem w bok; tak się wymknąłem śmierci. Lepiej, sądzę, nic mu dziś o powrocie nie mówić, bo znów pije, prawie duszkiem wypił cały dzban wina.

— Dobrze radzi doktor — odrzekł jeden z bandytów — wstrzymaj się do jutra, może się uspokoi przez noc.

Wysłaniec usłuchał i tak odłożono całą rzecz do dnia następnego.

Bolesław podziękował Panu Bogu, że odwrócił od niego grożące mu niebezpieczeństwo i udał się do Adeli. Opowiedział jej całą nowinę i przedstawił, co jej grozi. Rozpłakała się biedna dziewczyna i długo nie mogła się uspo-

koić. Wtedy Bolesław opowiedział jej cały plan zalania jaskini i ucieczki, zarazem jednakowoż wyraził obawę, czy zechce i potrafi iść po słabej drabinie sznurowej na stromą skałę. Na to odrzekła Adela: W domu często ćwiczyłam się z braćmi w podobnych zabawach, umiem chodzić po drabinie i pływać doskonale; to nie sprawia mi żadnych trudności.

To oświadczenie Adeli uspokoiło Bolesława; w lepszym już usposobieniu położył się na spoczynek.

Rano pomodlił się gorąco, polecił Bogu sprawy dnia dzisiejszego. Jakaś dziwna otucha wstąpiła w niego, był prawie pewnym, że uda się mu ucieczka, krzyż, przed którym się jego matka na puszczy modliła, wziął na piersi i popieszył do Adeli, by ją przysposobić do ucieczki. Zastał ją modlącą się gorąco do Boga.

— Stój przy drzwiach — rzekł do Adeli — ja muszę zajrzeć do Ebereka jak zwykle, żeby nie wzbudzić podejrzenia. Gdy w powrocie wymienię twoje imię, wyjdź z ukrycia — bo czas już będzie.

Bolesław udał się do Ebereka. Ten był dziś w dobrym humorze, bo noga mu się już zgoiła, to też rzekł do młodzieńca: Udała ci się sztuka, wynagrodzę cię za to; ale przede-wszystkiem zawołaj mi wysłańca, który cho-

dził do Trewiru. Musiał przecież powrócić już tej nocy. Tymczasem przygotuj mi kąpiel i przyjdź tu za chwilę.

Bolesław wyszedł i w drzwiach samych spotkał właśnie już wysłańca z paru towarzyszymi, który spieszył zanieść wodzowi wieści z Trewiru. Czempredzej pobiegł ku Adeli, zawołał ją i po drabinie wyszli do ogródka. Jakżeż się jednak przeraził, gdy drabinki jeszcze nie ujrzał. W tejże jednak chwili odezwały się dzwony w kościele po drugiej stronie rzeki i z góry zesunęła się równocześnie drabinka ze sznurów. Ale niestety była za krótka a tu tymczasem z głębi jaskini odezwały się głosy przekleństwa; to Eberek szukał z bandytami Bolesława i Adeli.

— Spuść drabinę niżej — wołał Bolesław zrozpaczony.

— O daremna to rzecz — odezwał się w tej chwili za nim głos Ebereka. — To ty mój chłopcze nie tylko zioła, ale i drabinki tu chodujesz. Szkoda, że nie wyrosła należycie. Ale kiedy ci się tu u mnie nie podobało, to ja ciebie wraz z twoją towarzyszką zaraz gdzieś indziej i bez drabinki wyprawię.

— Puszczaj natychmiast wodę, zanim Eberek wyjdzie z jaskini — zawołał Bolesław, a powiedziawszy to, chwycił wpół Adele i sko-

czył z ogródka w nurty płynącego u stóp skały Renu.

Równocześnie dało się słyszeć kilka uderzeń kilofem, tamę rozbito do reszty. Buchnęły fale potoku, tworząc wodospad kilkanaście stóp wysoki. Siła wody była tak wielką, że wpełnęła napowrót do jaskini wydobywającego się z niej Ebereka. Z jaskini nikt się nie wyratował, wszyscy w niej będący śmierć znaleźli.

Na widok skaczącego ze skały Bolesława podpływały łodzie napełnione zbrojnymi ludźmi z pomocą i wyratowały w porę oboje.

ROZDZIAŁ X.

Woźny święte czyli krzyżowe.

Były to błogie czasy, kiedy w świecie chrześcijańskim powstała myśl oswobodzenia Ziemi św., miejsc uświęconych pobytom Zbawiciela na ziemi z pod jarzma tureckiego. Pielgrzymi wracający z Palestyny opowiadali wiele o prześladowaniach i ucisku chrześcijan, o znieważaniu miejsc świętych. Opowiadania te dały wiele do myślenia chrześcijanom w Europie, zastanawiano się, jakby temu złemu zaradzić. Ale znalazł się jeden kapłan, fran-

cuz, zwany Piotr z Amiens, który tę sprawę wziął sobie do serca a odznaczając się porywającą wymową, potrafił w sercach chrześcijańskich książąt obudzić święty zapal w celu obrony i oswobodzenia miejsc świętych. Będąc w Jerozolimie był także u Patriarchy (biskupa) jerozolimskiego Szymona i radził z nim nad sposobami ulżenia doli chrześcijan w Ziemi świętej. Patriarcha dał mu listy do papieża ówczesnego, którym był Urban II. Papież przyjął go bardzo łaskawie i polecił mu, aby przebiegał kraje Europy i zachęcał książęta i ludy do wojny przeciw Mahometanom.

Równocześnie przybyli do Rzymu także posłowie od cesarza bizantyńskiego, Aleksego, z prośbą o pomoc przeciw Turkom, którzy już zagrażać poczęli miastu Konstantynopolowi i całemu cesarstwu wschodniemu.

Wobec tego zaprosił papież biskupów, książąt, królów i ludy na zjazd do Klermont we Francji w roku 1099. Zebrało się niezmierne mnóstwo ludu chrześcijańskiego. Papież przedstawił im niedolę i ucisk chrześcijan w Ziemi świętej, znieważanie pamiątek najdroższych sercu chrześcijanina i wezwał, by z bronią w ręku ruszyli do Palestyny dla odebrania Ziemi świętej z rąk pogan. Słowa jego obudziły w sercach zgromadzonych święty zapal, z ust

ich wydarł się okrzyk: Tak Bóg chce! tak Bóg chce! idźmy do Palestyny!

Postanowiono więc wojnę o zdobycie Ziemi świętej. Wszyscy, co w niej brali udział, mieli ozdobić swe piersi czerwonym krzyżem i dlatego wojny te zwiemy krzyżowcami a biorących w niej udział krzyżowcami. O niczem nie mówiono w Europie, tylko o wojnie z Turkiem. Księża i biskupi wzywali do niej ludy z ambony, rycerze zachęcali do nich wszystkich, gromadzili broń i ludzi.

Wielu przyjmowało krzyż z natchnienia Bożego, w pobożnym i zacnym zamiarze, ale było między krzyżowcami i wielu takich, którym podobało się życie pełne przygód, którzy nie mieli co robić w domu i dlatego tylko zapisywali się w szeregi spieszących na świętą wojnę. To też już zaraz z początku wojna nie obiecywała wiele dobrego. Ludzi była masa, ale te tłumy nie były obeznane ze sztuką władania bronią, nie miały pojęcia o karności wojskowej a dla mnogości trudno było je wyżywić. Trwały te wojny krzyżowe lat dwieście. Walczył Zachód ze Wschodem, wciąż krocie ludu płynęły z Zachodu na Wschód szukać tam śmierci męczeńskiej w walce za wiarę.

W dziejach zapisały się te czasy pięknie, są one dowodem żywej wiary, jaką przejęte

były w owe czasy ludy europejskie. Mają one także i z innej strony wielkie znaczenie. Przez nie poznały się i zbliżyły do siebie lepiej narody europejskie. podźwignął się przez nie stan średni t. j. lud wiejski i mieszczaństwo, rozwinęły się rzemiosła i sztuki, koniec końcem jednak Ziemi świętej nie odzyskano i do dziś pozostaje ona jak dawniej pod panowaniem tureckiem.

Krzyżowcy zbierali się w mieście włoskiem Genewie. Ładowano na okręty broń, żywność, robiono zbroje.

Pewnego pięknego poranku w porcie tego miasta stał jakiś człowiek, przyglądając się temu całemu ruchowi. Koło niego przesuwały się tłumy krzyżowców, zajętych pracą — na nikogo nie zwracał on jednak tak uwagi, jak na jednego rosłego mężczyznę, który kilka razy z taczka już koło niego przejechał. Ubiór jego i postawa mówiły, że taka ciężka praca nie była jego zwykłym, dawnym zajęciem, że go chyba potrzeba, albo zamięłowanie i zapal religijny do tego skłoniły. I pchający taczka zauważył, że jest przedmiotem ciekawości stojącego w porcie, zagadnął go więc po chwili: Widać, że nie masz co robić, kiedy tu już od kilku godzin stoisz beczynn timer, przytem zda-

jesz się być zdrowym, mógłbyś się zatem wziąć do pracy.

— Nie mam co robić, to prawda — odrzekł zagadnięty — stoję i podziwiam twoją nieostrożność.

— Jak to rozumiesz?

— Jak rozumiem? — odrzekł. — A czyż to można nazwać ostrożnością, kiedy się tak publicznie na ulicy pokazujesz, nie zmieniawszy ubrania? mógłbyś chociaż twarz jaką farbą pomazać, lub kapelusz włożyć, żeby się zasłonić. Tak pozna przecież każdy w tobie tego smutnej pamięci Gawła, co w podróży do Turynngji zamordował Genowefę, Marcina i kilku towarzyszy. Ja cię zaraz poznałem. Nie myśl jednak, żebym cię miał zdradzić, ale pamiętaj, że mimo krzyża, który masz na ramieniu, mógłbyś odpokutować te sprawki. Mnie sobie nie przypominasz? jestem Seweryn. należałem też do bandy Ebereka.

— Widzę, żeś życzliwy dla mnie — odparł Gawel — ale to niepotrzebne, bo wszystko coś powiedział, to fałsz wierutny. Ot siadź sobie tu na kamieniu, to ci opowiem, jak się rzecz miała:

— Udałem się do Turynngji z polecenia Ebereka i zabrałem ze sobą hrabinę, ale po to tylko, by ją ocalić. Chciałem ją umieścić w jakim

klasztorze. W drodze dowiedziałem się od Anzelma, że Marcin ma mnie zabić, że hrabinę chce dla siebie zostawić, by za nią dostać okup. Udało mi się uniknąć śmierci; przy pomocy Anzelma uciekłem z hrabiną, zanieśliśmy ją do klasztoru, tu nas dopadł Marcin, przyszło do walki, w której zginął. Ale byłibyśmy i my ulegli, gdyby niespodzianie nie przyszedł nam oddział krzyżowców w pomoc. Zaprowadzono nas do pobliskiego miasta, gdzieśmy mieli oczekiwać przybycia hrabiego Vermandois. Po kilku tygodniach przybył oddział jeden i doniósł nam o zatopieniu jaskini Ebereka. Ze znajdujących się w jaskini ocalała tylko Adela, córka hrabiego. Bolesław skoczył z nią razem do Renu, ale zatonął. Ani trupa jego nie znaleziono nawet. Woda wyniosła potem trupów zbójców i rzeczy będące w jaskini, pomiędzy niemi były i szaty hrabiego Zygryda. Widać zamordował go Eberek i pogrzebał w swym lochu. Hrabina dowiedziała się o tem, upłakała się dość, ale zgodziła się zupełnie z wolą Bożą. By ulżyć sercu postanowiła poświęcić się na usługi bliźnich, przyjęła krzyż czerwony i idzie z nami, by opatrywać chorych i rannych w szpitalach. Żyje przeto i jest w tem mieście, możesz ją tu zobaczyć.

— Kiedy tak, to cieszę się, że cię spotkał — odrzekł Seweryn — bo i ja ci mam powiedzieć ważną i wesołą nowinę. Hrabia Zygfryd żyje. Uwolniliśmy go sami. Postanowiło nas kilku zmienić życie i podczas choroby Ebereka zmówiliśmy się wspólnie. Eberek dowiedział się, że hrabia de Vermandois otoczył całą jego jaskinię, część jeńców kazał przeto zabić, a innych przeprowadzić w inne miejsce. Skorzystaliśmy z tego i zabraliśmy hrabiego Zygfryda ze sobą. Wiedzieliśmy, że ma wielkie znaczenie u okolicznego rycerstwa, chcieliśmy przeto za jego wpływem uzyskać wolny przepust i darowanie kary. I to nam też się udało. Rzeczy hrabiego zostały w jaskini, to też dlatego je potem znaleźli rybacy. Kilku z naszych i hrabia Zygfryd przyłączyliśmy się do oddziału Gideona, aby pójść z nim razem do Palestyny. Raz złapały strażę jednego z tych dziesięciu, którzy z tobą odbywali podróż do Turyngji. On to nam opowiedział, żeś z Anzelmem zabił Genowefę, pokazywał rany, które miał odebrać w obronie hrabiny. Doszła niebawem wieść o utonięciu Bolesława. Znając brzegi Renu, postanowiłem odszukać choć trupa. Wziąłem dwie łodzie i kilku ludzi, ale ani śladu jego nie natrafiłem. Sądzę jednak, że żyje, bo mi ludzie w okolicy opowiadali, że spotkali

w lesie kilka razy chłopca, który ze sobą nosił prosty krzyż drewniany, przed którym często klęczał i modlił się gorąco. Znajdzie się przeto i on prędzej, czy później.

— Spójrzij tylko — przerwał mu Gawel — oto tam w porcie, widzisz, Genowefa tam idzie. — Ten Turek, z którym się żegna, to Hemed, syn sultana egipskiego Abdul Kazema. W wojnie z Genowefą, ranny dostał się do niewoli i leżał tu w szpitalu. Genowefa go pielęgnowała, teraz odjeżdża do swego kraju, bo go wykupiono w zamian za innych jeńców wojennych.

Gawel z Sewerynem przybliżyli się do Genowefy. Gdy jej opowiedział Gawel, co słyszał od Seweryna, ucieszyła się niezmiernie i pobiegła natychmiast do kościoła podziękować Bogu za te wieści.

ROZDZIAŁ XI.

Losy Bolesława.

Bolesław ująwszy wpół Adele, skoczył z nią do Renu, tu ją puścił, bo Adela umiała doskonale pływać. Łodzie podpłynęły i wyratowały ją natychmiast, Bolesław zaś natrafił na bystry prąd rzeki, który go uniósł daleko; stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, leżał na

brzegu a obok niego krzyż drewniany, jego nieodstępny towarzysz. Wyratowali go rybacy i dotąd byli oni zajęci jakąś pracą. Łowili drogami rozmaite przedmioty i paki, które woda skądś przyniosła, czego oni sobie nie zdolali wytłumaczyć. Bolesław przyjrzał się tym rzeczom i poznał, że pochodzą z zalanej wody jaskini Ebereka. Wśród tych przedmiotów zwrócił jego uwagę płaszcz jakiś. Wziął go w rękę a przyjrzawszy się takowemu dokładniej, zalał się łzami. Był to płaszcz ojca jego. A więc nie prawda, co mówił Szymon o ocaleniu jego ojca i on pewnie był w jaskini podczas jej zalania.

Rybacy widząc, że płacze, zapytali się go, czy znał tego, co ten płaszcz nosił.

— Był to największy mój dobroczyńca, hrabia Zygfryd — odrzekł Bolesław. — Eberek pojmał go i trzymał w jaskini pod tą oto skałą. Jaskinię zalano i on tam pewnie śmierć znalazł.

— Hrabia Zygfryd? — rzekł jeden z rybaków — słyszałem o nim. Jakieś nieszczęście jest nad jego rodziną, oto niedawno temu opowiadał mi jeden znajomy, że żonę jego Genowefę zamordowali zbójcy pod bramą jakiegoś klasztoru. — I począł opowiadać Bolesławowi to wszystko, co wiemy z ust Seweryna.

Bolesław zadumał się głęboko, po chwili zerwał się nagle, chwycił za swój krzyż i pośpieszył do lasu.

— To musi być chyba krewny Zygfryda, albo głupiec — rzekł jeden z rybaków. — Ale warto ten płaszcz zanieść na zamek Zygfryda, to nam za tę wiadomość dobrze zapłacą. — Jak rzekli, tak też i zrobili. Na zamku Zygfryda wiedzano jednak dobrze, że hrabia żyje, był tu nawet przez parę dni, przedtem nim się wybrał z krzyżowcami do Ziemi świętej, by zarządzić wszystko podczas swej nieobecności. To też Ojciec Norbert nie zmartwił się wcale, owszem ucieszył się, z opisu bowiem rybaków poznał, że tym młodzieńcem nie mógł być nikt inny, tylko Bolesław. A więc żył i on także, a zatem i wieść o śmierci Genowefy może jest nieprawdziwą.

Bolesław był bliskim rozpacz, sądząc, że stracił naraz ojca i matkę. Nie wiedział, co ma zrobić ze sobą. Gdyby nie modlitwa, do której się często uciekał, straciłby zmysły na pewno. Widywali go często wieśniacy przechodzący lasem, jak modlił się przed swoim krzyżem, płacząc przytem. Nie wiedząc jednak, co mają o tak młodym pustelniku sądzić, zostawiali go w spokoju. We dnie chodził Bolesław do chat wieśniaczych, pomagał im przy

pracy a ci go za to żywili; noce spędzał zwykłe na drzewie. Tak też jednego wieczora wyszedł na drzewo, by szukać noclegu, gdy naraz uszu jego doleciał jakiś zgiełk, wrzawa, rżenie koni, szczęk broni, który się coraz bardziej przybliżał. Przy zmroku wieczornym ujrzał całą okolicę, napełnioną mnóstwem ludu zbrojnego, pieszego i konnego a każdy z żołnierzy miał przypięty na ramieniu krzyż czerwony. Tłum ten stanął właśnie obozem tuż pod lasem i zabierano się do rozbicia namiotów. Opodał od drzewa stał jakiś rycerz. Bolesław zaciekawiony tym widokiem, zeszedł z drzewa, by się przyjrzeć lepiej temu widowisku. Szmer zwrócił uwagę rycerza, spojrzał w tę stronę i zaczął się śmiać z całego gardła, widząc schodzącego z drzewa młodzieńca.

— O! cóż to za wiewiórka z ciebie, mój kochany, gdzież to idziesz? — zapytał go rycerz.

— Dokąd idę, jest mi obojętne — odrzekł Bolesław — choćby i na śmierć, to mi jest obojętne.

— Ho! ho! — odrzekł rycerz — cóż to za przyczynę masz tak mówić. W twoim wieku tak się przecież nie mówi.

— Straciłem rodziców — odparł Bolesław ze łzami w oczach.

— Ładnie to — ciągnął dalej rycerz — że tak kochasz rodziców. Ale to jeszcze nie powód, żeby na śmierć iść, bo to zwykła kolej każdego z nas ludzi. Ale jeżeli ci tak obojętne to życie, to przyłącz się do nas, my też idziemy szukać śmierci.

— A coście wy za jedni — pytał Bolesław.

— Jesteśmy krzyżowcy, idziemy odebrać poganom Ziemię świętą. Przyłącz się przeto do nas lepiej.

— Całem sercem — odrzekł Bolesław.

— A masz ty pieniądze na wyprawę?

— Ani szeląga — odrzekł zapytany.

— A to się doskonale składa — zawołał rycerz — tośmy się obaj dobrali, trzymajże się mnie to ci dobrze będzie. Widzisz i ja nic nie mam. Nazywam się Walter von Habenichts — goły jak święty turecki. Ale mimo tego wesoło sobie żyję; inni mają pieniądze, to i przytem kłopoty mają a ja wolny od tego. Nie mam nic, to też chcąc się utrzymać, objąłem dowództwo nad tą niesforną hołotą, co tu widzisz. Przyłączże się do mnie i ty! A umiesz ty czytać i pisać?

— Umiem — odrzekł Bolesław.

— A robić bronią?

— Także.

— A no to dobrze. Mianuję cię przeto mo-

im adjutantem. Nie martw się, bądź wesołej myśli. Jesteś wysokiego rodu, bo widzę, żeś z wysokości zeszedł a o imię mi nie idzie. A teraz chodź, posilimy się nieco.

Wspomnieć tu musimy nieco o tym Walterze von Habenichts, którego imię głośnie jest w dziejach wojen krzyżowych. Ów sławny zakonnik Piotr z Amiens obchodził kraje Europy, zachęcając wszystkich do wyprawy krzyżowej. Zebrało się koło niego mnóstwo ludu, przeważnie ludzi bez zajęcia żadnego i włóczęgów. Ci nie mogąc doczekać się, aż się zbiorą panowie i książęta, wojsko wyćwiczone, postanowili iść przodem pod dowództwem Waltera i kilku innych rycerzy. A było tego mnóstwo nie lada, bo przeszło 200.000. Większa część tych ludzi składała się z próżniaków i awanturników, to też smutny był los tej wyprawy. Po drodze rabowali, obdzierali, żyli z sobą w niezgodzie. Ponieważ zaś znaczna ich część nie była wyćwiczona w władaniu bronią, przeto Turcy otoczywszy ich do koła, sprawili między nimi straszną rzeź, tak, że ledwie 3.000 z tej ogromnej masy uciekło do Konstantynopola. Rycerz Walter poległ na placu boju. Bolesław i Piotr z Amiens byli w liczbie tych, co się zdołali uratować ucieczką.

ROZDZIAŁ XII.

Pierwsza wyprawa krzyżowa.

Krzyżowcy ofiarowali główne dowództwo nad całą wyprawą papieżowi, ale ten nie mógł go objąć, bo wstrzymywały go ważne sprawy całego chrześcijaństwa. W zastępstwie zrobił on za siebie głównym wodzem arcybiskupa z Pui Ademara. Wnet jednak całe dowództwo z woli krzyżowców objął Gotfryd de Bouilon, syn hrabiego Eustachego i świętej Idy. Był to rycerz w całym tego słowa znaczeniu, odważny, szlachetny, pełen świętego zapału i pobożny. Wraz z nim wzięli udział w pierwszej wyprawie dwaj jego bracia Balduin i Eustachy. Pod wodzą Gotfryda było 80.000 pieszych i 10.000 konnicy, sam kwiat rycerstwa niemieckiego i francuskiego. Po przybyciu do Konstantynopola, złożył Gotfryd przysięgę wierności cesarzowi wschodniemu a zaszczycony przezeń nazwą cesarza, adoptowany przezeń synem, ruszył wiosną 1097 roku do Azji. Niedobitki armji Waltera i Piotra z Amiens, w liczbie 3.000, wśród nich i Boleśław połączyły się z tą armją. Przyłączyły się i inne oddziały, tak że w kwietniu liczyła jego armja 600.000 ludzi.

Zdobyli Niceę, Edesę i podstąpili pod mury Antjochji. Przez 10 miesięcy trwało oblężenie tego miasta, aż je wreszcie zajęli przy pomocy zdrady jednego z naczelników Syrii. Zaledwie jednak weszli do miasta, nadciągnęła ogromna armja turecka i otoczyła miasto ze wszystkich stron. Nastąpiła straszna nędra i głód, ludzie padali setkami. Mnóstwo upadło na duchu i nie chcąc ginąć śmiercią głodową, uciekało w nocy przez mury. Smutny był los i tych zbiegów. Turcy brali ich w niewolę, zabijali wielu bez litości, innych zmuszali do przejścia na wiarę mahometańską a nie brakło i takich, co i to zrobili. Widocznem było, że tylko cudem mogli się ocalić krzyżowcy.

I Bóg działał cud taki.

Był w Antjochji wśród krzyżowców kapłan pewien, imieniem Piotr Bartłomiej. Temu objawił się święty Andrzej w nocy i oznajmił mu, że w kościele świętego Piotra Apostoła, znajduje się włócznia, którą przebodziono bok Zbawicielowi. Włócznię tę należy odszukać i przy jej pomocy odnieść chrześcijanie zwycięstwo. Z polecenia biskupa z Pui wzięto się też zaraz do poszukiwań. Dwunastu ludzi kopało, przekopano kościół wszerz i wzdłuż, aż wreszcie znaleziono ją pod wielkim ołtarzem. Wieść o znalezieniu tak wielkiej relikwji, o obietni-

cach przywiązanych do niej, lotem strzały rozeszła się pomiędzy krzyżowcami; w wszystkich wstąpiła nowa otucha. Wszyscy krzyżowcy przystąpili do Stołu Pańskiego i rzucili się z nowym zapalem na wroga. Świętą włóczęnię wystawiono na wieży kościoła św. Piotra a obok pokłękli kapłani, niewiasty i dzieci i modlili się gorąco przez cały przeciąg walki. Naraz ukazała się jakaś niebiańska światłość nad świętą włóczęnią i ta przeraziła tak dalece Turków, że mimo przeważającej liczby, poczęli uciekać. W ręce krzyżowców wpadł cały obóz pogański, zaopatrzony obficie w żywność i tak po długim niedostatku nastały znów dla nich lepsze czasy.

Bolesław walczył cały czas przy boku Pankreda, jednego z rycerzy, którzy się najwięcej odznaczyli w pierwszej wyprawie krzyżowej. Naraz zawołał: Bolesławie, musimy się zwrócić teraz w tamtą stronę; ot widzisz, niewierni uprowadzają w niewolę kilku naszych a wiem, że zginą niechybnie okrutną śmiercią, jeżeli im nie pomożemy. Dalej, spieszymy im z pomocą!

Jak dwa lwy rzucili się Pankred i Bolesław z mieczem w rękę w wskazaną stronę i po nie długiej walce odbili więźniów. Uwolnieni poczęli im całować ręce i gorąco dziękować. Bolesław przyglądał się dłuższy czas jednemu

z więźniów, wreszcie zapytał go: Czyś ty nie Gawel?

— To mój pan — zawołał zapytany — Bolesław, syn mego pana hrabiego Zygryda! Tak jest, jestem Gawel.

— Zabójca mojej matki! — odrzekł Bolesław z boleścią.

— Bolesławie — zawołał Gawel — nie wierz temu, nie zabiłem jej, lecz ocaliłem ją z groźnego niebezpieczeństwa. Wyprowadziłem ją z rąk Ebereka i oddałem pod opiekę oddziału krzyżowców będącego pod wodzą hrabiego Vermandois. Z tym oddziałem przybyliśmy razem do Genewy, wsiedliśmy na okręty, ale około Durazzo rozbił się nasz okręt. Hrabia de Vermandois, wasza matka i kilka jeszcze osób wsiedli do łodzi i tak straciłem ją z oczu, bo mnie porwał bałwan. Gdy przyszedłem do przytomności, znalazłem się na wybrzeżu morskim wraz z Anzelmem i Sewerynem. Dowlekliśmy się z trudem do Antjochji i odtąd o matce waszej nic więcej nie słyszałem.

— W takim razie matka niezawodnie musiała się dostać do niewoli — odrzekł Bolesław. — Właśnie tu w Antjochji dowiedzieliśmy się, że cała załoga okrętowa hrabiego de

Vermandois wpadła w ręce Arabów. Biedny ja, matka w niewoli, ojca zabił Eberek.

— I ojciec wasz hrabia Zygfryd żyje — odrzekł Gawel. — Wiem o tem z pewnością, że go Eberek wcale nie zabił. Wyprowadził go z jaskini Seweryn, ten tu oto. Ojciec wasz przyłączył się do oddziału Piotra z Amiens a jeden z moich znajomych widział go jeszcze niedawno temu w Bitynji, poczem miał się cofnąć do Konstantynopola.

— To nie może być — odrzekł Bolesław. — Wszak i ja należałem do wojska Piotra z Amiens a nigdy się z ojcem nie spotkałem.

— Może być i jest — odparł Gawel — bo wojska Piotra z Amiens były podzielone na cztery oddziały i każdy szedł osobno, łatwo więc być może, żeście się nie spotkali, będąc w różnych oddziałach.

— I to prawda — odrzekł młodzieniec. — Byłem w czwartym oddziale pod Walterem a ojciec mógł być w pierwszym, razem z Piotrem. Może się jeszcze doczekam, że się zobaczymy; Bóg wam zapłać, za tyle wesołych wieści. Pocieszyliście mnie na długi czas, czuję, że nowe siły, nowe życie we mnie wstąpiło.

ROZDZIAŁ XIII.

Zdobycie Jerozolimy.

W listopadzie 1098 roku opuścili krzyżowcy Antjochę i ruszyli ku Jerozolimie. W Jerozolimie było przeszło 40 000 piechoty i 10 000 jazdy saraceńskiej pod dowództwem Istykaura Edaula. Chrześcijanie mieli zaledwie połowę tego, mimo tego ufni w pomoc Bożą, przystąpili do oblężenia. W piątym dniu oblężenia zdobyli krzyżowcy pierwsze mury, otaczające miasto, wróg schronił się wtedy poza drugie a te były i wyższe i silniejsze. Dokuczał oblegającym brak wody, bo źródła i strumyki powysychały wśród letnich upałów a studnie Turcy pozasypywali, lub pozatruwali. Musiano wodę nosić z bardzo daleka a takie wyprawy kosztowały zawsze dużo ludzi, bo Arabowie napadali niosących wodę i mordowali. Z braku wody poczęły padać konie a nawet i ludzie umierali; wybuchła zaraza. Położenie chrześcijan było z dnia na dzień gorsze, ale w tej smutnej chwili pospieszył znowu Pan Bóg z pomocą Swoim. Wysłani szpiegowie donieśli, że do miasta Joppy przybyła flota z Genewy, wioząc z sobą wojsko, broń i żywność. Rajmund, hr. Tuluzy pospieszył zatem zająć Joppę i drogę wiodącą od tego miasta ku Jerozolimie. Za-

pasy wyladowano i sprowadzono do obozu. Zaledwie się jednak z tem uporano, nadpłynęła flota egipska z Askalonu, chcąc przeszkodzić wyladowaniu okrętów. Szczęściem, że się pospieszono — nieprzyjaciel zabrał już tylko próżne okręty.

Przy pomocy przybyłych rzemieślników, mając już dostatek żywności i narzędzi, wzięto się teraz do budowania maszyn wojennych, których wówczas, kiedy to prochu i armat nie było, używano do zdobywania fortec. Były to wieże zbudowane z grubych tarcic, bardzo wysokie; przednia ściana takiej wieży była podwójna, pierwsza z nich była na zawiasach, tak że jak most dała się spuszczać. Po takim moście można było z wieży dostać się na mury, druga ściana była cała obita niewyprawionemi skórami bydłecemi. Służyła ona za tarczę dla żołnierzy będących we wieży i od niej odbijały się wszelkie strzały i pociski, rzucane przez nieprzyjaciela. ●

Dwa dni już trwała zacięta walka, krzyżowcy stracili wszelką nadzieję, nawet książe Lotaryngji począł ducha tracić, gdy wtem na górze Oliwnej ukazał się rycerz ogromnej postaci, trzymając w ręku tarczę promienistą w stronę miasta, jakby zasłaniając tym sposobem krzyżowców od pocisków wroga.

Dostrzegł to zjawisko pierwszy Gotfryd i zwrócił na niego uwagę reszty rycerstwa: — Oto — wołał — patrzcie! nie traćcie nadziei, oto Bóg posyła nam Anioła swego na pomoc! — Nowy duch wstąpił w oblegających, z nowym zapalem rzucili się na wroga. Zrobiono wyłom w murze a Gotfryd pierwszy spuścił most ze swej wieży na mury otaczające miasto. Po tym pomoście sypnęli się rycerze do miasta. Wokoło tych, co pierwsi stanęli właśnie w tej stronie zebrała się największa gromada Turków, chcąc zagrozić wejście do miasta chrześcijańskiemu wojsku. Bolesław walczył jak lew; widok tego chłopca tak dzielnie walczącego, dodawał innym odwagi, to też przeciw niemu szczególnie zwrócił się dowódca turecki Istykar. Byłby zginał niechybnie, ale go Gawel zasłonił — a wtedy Bolesław korzystając z tego, że się Istykar odsłonił, ciał go pałaszem i na miejscu położył trupem. Śmierć wodza przeraziła niewiernych, upadli na duchu i poczęli uciekać. Krzyżowcy jak fale wzburzonego morza wpadli do miasta i zalali je całe. Rozpoczęła się straszna rzeź. Turcy uciekając zabierali z sobą niewolników chrześcijańskich, mordowali ich na miejscu, mszcząc się w tak niegodny sposób za poniesioną klęskę. Bolesław z Tankredem posuwali

się coraz dalej w głąb miasta; koło domu Piłata spotkali właśnie gromadę Turków, którzy uprowadzali ze sobą kilkunastu jeńców. Natychmiast podskoczyli w tamtą stronę, by ich uwolnić. Walka była krótka, ale stanowcza, jeńców uwolniono. Cóż za radość czekała Bolesława, w liczbie uwolnionych znajdował się także ojciec jego, hrabia Zygfryd! Uwolnionych jeńców odprowadzono do kościoła Grobu Pańskiego. Bolesław chcąc pozostać przy boku ojca, pogadać z nim po tak długiem niewidzeniu się, przyłączył się do oddziału krzyżowców, podążających do tej świątyni.

Tymczasem w mieście wrzała straszna walka. Popołniono nawet brzydkie nadużycia. Przeszło 10 000 Turków starców, niewiast i dzieci schroniło się do tureckiej świątyni. Krzyżowcy wpadli tam i poczęli ich mordować bez litości, tak że konie po kostki we krwi brodziły. Żydzi schronili się do swej synagogi, krzyżowcy podpalili ją i tym sposobem straciło znowu kilkanaście tysięcy ludzi życie. Z całej ludności miasta, wynoszącej przeszło 70 000, nie zostało nawet tylu, by mogli się zająć pogrzebaniem pomordowanych. Układano więc trupy na stosy obkładano je drzewem i palono.

Daremnie książę Gotfryd zakazywał tych mordów, namiętność wzięła górę nad wszystkimi szlachetniejszymi uczuciami. Widząc to, polecił rycerstwu złożyć zbroję, przywdział wraz z niem pokutniczą suknię i w procesji boso udał się do Grobu Pańskiego. Tu powitali go uroczyście patriarcha i duchowieństwo całe i złożyli mu dzięki za oswobodzenie miasta świętego od jarzma niewiernych. Przykład księcia podziałal i na resztę. Krzyżowcy składali broń i tłumnie spieszyli do świątyni podziękować Bogu za odniesione zwycięstwo. Było to 15 lipca 1099 roku, gdy w murach świątyni zabrzmiał hymn dziękczynny: „Ciebie Boże chwalimy“ jako podzięką Bogu za triumf oręża chrześcijańskiego.

Zebrani panowie i rycerstwo obrali jednogłośnie Gotfryda królem Jerozolimy, ale skromny ten książę nie przyjął korony, mówiąc, że nie godzi się nosić tam złotej korony gdzie Zbawiciel nosił cierniową, przyjął tylko rządy z tytułem Stróża Grobu Chrystusowego.

ROZDZIAŁ XIV.

Spotkanie.

Niedługo jednak trwała radość ze zwycięstwa, niebawem nadeszła do Jerozolimy wiadomość, że sułtan egipski, Mosta-Abdul-Kazem, wysłał pod wodzą swego syna Hemeda nowe wojsko, które ma uderzyć na Jerozolimę. Armja jego stanęła pod miastem Askalonem i niebawem ma ruszyć przeciw chrześcijanom. Chwycono więc znowu za broń, aby ruszyć na spotkanie wroga. Na równinie między miastem Joppą a Askalonem zebrały się wojska chrześcijańskie. Tu udało się chrześcijanom zająć stada bydła i koni należące do obozu tureckiego i dowiedzieć się coś bliższego o rozłożeniu i liczbie wojsk nieprzyjacielskich. Turcy mieli przeszło 100 000 piechoty i 40 000 jazdy, podczas kiedy chrześcijanie mieli zaledwie 15 000 piechoty i 4 000 jazdy. Mimo tego Gotfryd postanowił uderzyć na wroga, ufny jedynie w pomoc Boską, której już krzyżowcy tylekroć doznali. Poganie nie sądzili, że chrześcijanie ośmielą się na nich uderzyć, byli też nieprzygotowani wcale, gdy Gotfryd atak do obozu przypuścił. Poczeli się chwiać i uciekli. Ale większa część krzyżowców zamiast ścigać wroga, poczęła rabować obóz. Zobaczyw-

szy to Hemed, uderzył na nich na nowo. I byliby ich zgnetli zupełnie liczbą samą, gdyby nie przytomność umysłu Gotfryda. Wydał on polecenie, by zajęte wczoraj przez chrześcijan stada wypuścić na Turków. Powstał stąd straszny popłoch i zamieszanie. Wróg widząc od strony obozu wznoszącą się kurzawę, myślał, że jakieś nowe posiłki spieszą walczącym z pomocą i począł uciekać. Mnóstwo poległo, niewielka część tylko schroniła się do miasta. Wśród uciekających w tę stronę był i sam dowódca Hemed z oddziałem wyborowych żołnierzy. Dojrzał go Pankred i puścił się z nieodstępnym swym towarzyszem Bolesławem za nimi w pogoń. Hemed bronił się zacięcie, ale wnet uległ przemocy. Bolesław ubił pod nim konia i zamierzał się już na niego mieczem, by go trupem położyć, gdy wtem usłyszał koło siebie głos: Bolesławie! nie zabijaj go, to Hemed, mój wybawca! — Był to głos matki jego. Zwrócił się w tę stronę, skąd ten głos pochodził i rzeczywiście ujrzał Genowefę, przybraną za Turczynkę. Spuścił miecz i rzucił się w objęcia matki.

Tymczasem Pankred zdobył na wrogu główną chorągiew a wróg widząc ją w ręku chrześcijan, poddał się. Tak odniesiono jedno z naj-

większych zwycięstw pod Askalonem 12-go sierpnia 1099 roku.

Bolesław kazał wydobyć Hemeda z pod konia, podał mu rękę i usiadł obok matki, ciekawy jej losów. Genowefa opowiedziała mu, że po rozbiciu się okrętu pod Durazzo, łódź, na której się znajdowała, wpadła w ręce Arabów. Nie długo jednak była w niewoli, bo Hemed uganiając się za koczowniczymi Arabami, którzy się na pustyni trudnili rozbojem, napadł i oddział ten, gdzie znajdowała się Genowefa. Był to poganin, ale miał serce szlachetne, to też darował natychmiast wolność wszystkim pielgrzymom, a Genowefę zatrzymał przy sobie. Miał zamiar oddać ją potem w ręce krzyżowców, skoro ich spotka jakiś znaczniejszy oddział. Przez cały czas otaczał ją największym szacunkiem i nie zbywało jej na niczem.

Bolesław raz jeszcze uścisnął rękę Hemedowi i obaj młodzieńcy zawarli z sobą przyjaźń.

Po zajęciu Askalonu zawarli chrześcijanie z Turkami pokój i wrócili w triumfie do Jerozolimy.

Łatwo sobie wyobrazi nasz czytelnik, co za radość musieli odczuwać Zygfryd i Genowefa, spotkawszy się znowu cało i przy zdro-

wiu. Należała im się tak radosna chwila po przebyciu tylu boleści i doświadczeń losu. Bolesław podarował wolność Hemedowi, ten bowiem stawał się podług ówczesnego prawa wojennego niewolnikiem tego, który go pokonał a Hemed z wdzięczności zaprosił jego wraz z rodzicami na dwór ojca swego, sułtana egipskiego Mosta-Abdul-Kazema.

Zygryd przyjął zaprosiny z ochotą. Można sobie wyobrazić radość Kazema, gdy ujrzał wracającego swego jedynaka. Powiedziano mu, że spadł z konia, że dostał się w ręce chrześcijan którzy go może i zamordowali, tymczasem ujrzał go zdrowego i wesołego. Przyjął też uprzejmie i świetnie rodzinę Zygryda. Tu na dworze sułtana wypoczęli sobie przez kilka tygodni póki nie nabrali nowych sił po tylu trudach. Sułtan dał im okręty genewskie, które zabrał pod Joppą, wydał im wszystkich jeńców chrześcijańskich, których zabrał, zaopatrzył ich w żywność na drogę a nadto obdarzył ich hojnie rozmaitymi cennymi podarunkami.

Pożegnawszy się czule, odpłynęli wreszcie Zygryd, Genowefa i Bolesław z powrotem do Europy.

W Genewie oddał hrabia miastu okręty, a sam z rodziną wybrał się do Rzymu, by na-

wiedzieć groby Apostołów świętych Piotra i Pawła i prosić Ojca świętego o błogosławieństwo. Gawel, który wraz z państwem swoim także przybył do Genewy, pospieszył wprost do Zygfyrydburga, by przysposobić wszystko na przyjęcie wracających. Bóg uchował i jego wśród tylu niebezpieczeństw i dozwolił mu wrócić do ziemi ojczystej. Dwaj jego towarzysze Anzelm i Seweryn zginęli w czasie oblężenia Jerozolimy.

ROZDZIAŁ XV.

Powrót do domu.

Wieść o powrocie Zygfyryda z Genowetą i z synem z Ziemi św. szybko rozniosła się po okolicy. Hrabia był wszędzie szanowany i lubiany, to też na powitanie jego pospieszyło mnóstwo rycerstwa. Między nimi był biskup Hildorf, Eberhard z Breitensteinu z żoną swoją Bertą, Hugo, hrabia de Vermandois z córką swoją Adelą; wrócił on już od kilku miesięcy do domu, zapadł był bowiem na zdrowiu. Wszyscy ci znajomi wraz z mnóstwem włościan i poddanych z dóbr hrabiego oczekiwali nadjeżdżających u stóp góry zamkowej. Powitano ich czule. Przedewszystkiem udał się

cały orszak do kaplicy zamkowej, tu odprawił ksiądz biskup uroczyste nabożeństwo, o Ojciec Norbert wypowiedział kazanie. Sędziwy kapłan mówił przedewszystkiem o ufności w Boga. Kto ufa w Bogu, ten potrafi znieść choćby najcięższe i najprzykrzejsze doświadczenia, bo w swym smutku i utrapieniu, w tej ufności będzie czerpał siłę, ona mu dodawać będzie otuchy a Bóg wreszcie wszystkie te boleści obróci w radość. Przykładów, ciągnął dalej, nie potrzebujemy szukać daleko, dostarczają ich obficie losy, które przeszła rodzina obecnego tu hrabiego Zygryda, żony jego Genowefy i syna Bolesława.

Ale jeszcze jedna uroczystość miała mieć miejsce w kaplicy. Gdy się już wszyscy zabierali do wyjścia, powstał hrabia de Vermandois i zbliżywszy się do Bolesława, tak doń przemówił: Obiecałem dać mą córkę za żonę temu rycerzowi, który ją wyswobodzi z rąk Eberka. Tobie, szlachetny rycerzu Bolesławie ją oddaję, spłacając w malej części dług, jaki wobec ciebie zaciągnąłem. Jeżeli przyjmujesz, to bierz ją i bądźcie szczęśliwymi w waszem pożyciu.

To mówiąc podał mu hrabia rękę Adeli. Bolesław skłonił się głęboko przed Adelą, ujął jej rękę a złożyłwszy na niej pocałunek, od-

parł: .Szlachetny panie hrabio! Jest to dla mnie zarówno zaszczytem, jak i nazbyt hojnym wynagrodzeniem za nic nie znaczącą przysługę, którą twej córce wyświadczyłem, że mię raczysz przyjąć za zięcia swego. Jeżeli wola szlachetnej hrabianki Adeli jest ta sama, co twoja, panie hrabio, natenczas będę najszcześniejszym, otrzymując jej rękę, którą uważam za najcenniejszy skarb dla siebie. — Adela zarumieniwszy się aż po same uszy, spuściła skromnie wzrok ku ziemi i oświadczyła, że wola jej ojca jest zarazem jej życzeniem i zgadza się z nią zupełnie. Także i rodzice Bolesława, hrabia Zygfryd i Genowefa oświadczyli się za związkiem Bolesława i Adeli. To też bez zwłoki urządzono publiczne zaręczyny młodej pary w obecności księdza biskupa Hildorfa.

Co do ślubu, miano się dopiero później umówić.

W pałacu wyszła na spotkanie hrabstwa cała służba zamkowa. Byli tu jeszcze z dawnych naszych znajomych Kunc i Heinc. Przywłókł się też o kiju sędziwy towarzysz broni hrabiego, Wolf i serdecznie uściśnął Zygfryda i Bolesława a łzy jak groch spadały mu na siwe włosy. Wdowa po kucharzu, którego zabił Gawel, przybyła też z dwoma córkami. Przebaczyła już ona dawno staremu burgrabiemu

i żyła z łaski hrabiego, nie znając co bieda i niedostatek. Córki jej przyprowadziły także ze sobą łanię. Poczciwe zwierzę mimo tylu lat nie zapomniało wcale swoich panów. Zaraz przybiegła do Genowefy i Bolesława i poczęła się koło nich łaścić i skakać.

W trzy miesiące po powrocie hrabstwa z Ziemi świętej, zaroił się znów zamek mnóstwem strojnego rycerstwa. Przybyli tu oni na ślub Bolesława z Adelą. Związek małżeński pobłogosławił sędziwy przyjaciel rodziny biskup Hildorf a gody trwały przez kilka dni z rzędu.

Przy tej sposobności oddał Zygfryd zamek i zarząd z dobrami synowi swemu, chcąc w spokoju spędzić ostatnie dni żywota. Przedtem jednak przywołał dawnego swego zarządcę zamku Gawła i oświadczył mu, żeby w nagrodę za swą wierność i przywiązanie, którego złożył dowody w ostatnich czasach, zażądał od niego czego tylko zechce. Ale Gawel odrzekł: Panie hrabio! to, co zrobiłem później dla ciebie i dla twojej rodziny, nie jest w stanie zmazać nigdy tego, co dawniej przewiniłem. Jeśli mnie chcesz koniecznie obdarować, to proszę cię o jedną łaskę. Pozwól mi zamieszkać w tej jaskini, gdzie twoja zacna małżonka długie lata spędziła z mego powodu.

Hrabia zgodził się na życzenie Gawła. Już zaraz po powrocie hrabiny z pustyni kazał tu hrabia wystawić mały kościółek, którego ściany były pokryte malowidłami, przedstawiającymi ustępy z życia Genowefy. Teraz kazał tu hrabia wystawić mały domek pustelniczy.

Gaweł sprowadził się do pustelni a wkrótce za nim przeniósł się tu i Ojciec Norbert i zamieszkał z nim razem. Gaweł służywał mu do Mszy świętej, pożywienie noszono im z zamku a w krótkim czasie miejsce to stało się miejscem pielgrzymek, ludzie doznawali tu bowiem łask rozlicznych, do tego ściągала ludzi sława Ojca Norberta, jako doświadczonego lekarza w rozlicznych przypadkach. Ludzie znosili im dary a z nich nie tylko, że mogli już wyżyć obaj pustelnicy, ale nadto żywili jeszcze mnóstwo ubogich przy sobie.

Nie długo potem umarł biskup Hildorf, Wolf a wreszcie i Genowefa w 14 lat po przybyciu ze Ziemi świętej. W dwa lata po niej przeniósł się do wieczności i hrabia. Długie lata żyli ze sobą szczęśliwie Bolesław i Adela, umarli prawie równocześnie, opłakiwani przez dzieci i wnuki.

Rodzina hrabiów na Zygfrydburgu żyła tu długie jeszcze wieki. Ostatni potomek tej rodziny był bezdzietny. Po śmierci kazał wszyst-

ko sprzedać i rozdać ubogim i na klasztory a zamek oddać na pastwę czasu. I stało się ze Zygfrydburgiem to, co z tylu rzeczami na świecie. Mury upadły, rozsypały się w gruzy i niktby teraz nie był w stanie wskazać miejsca, gdzie stał niegdyś ten pyszny budynek, lecz pamięć Genowefy, hrabiego i Bolesława do dziś jeszcze żyje w sercach i ustach okolicznego ludu.



78
23066

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000415584



I 386093